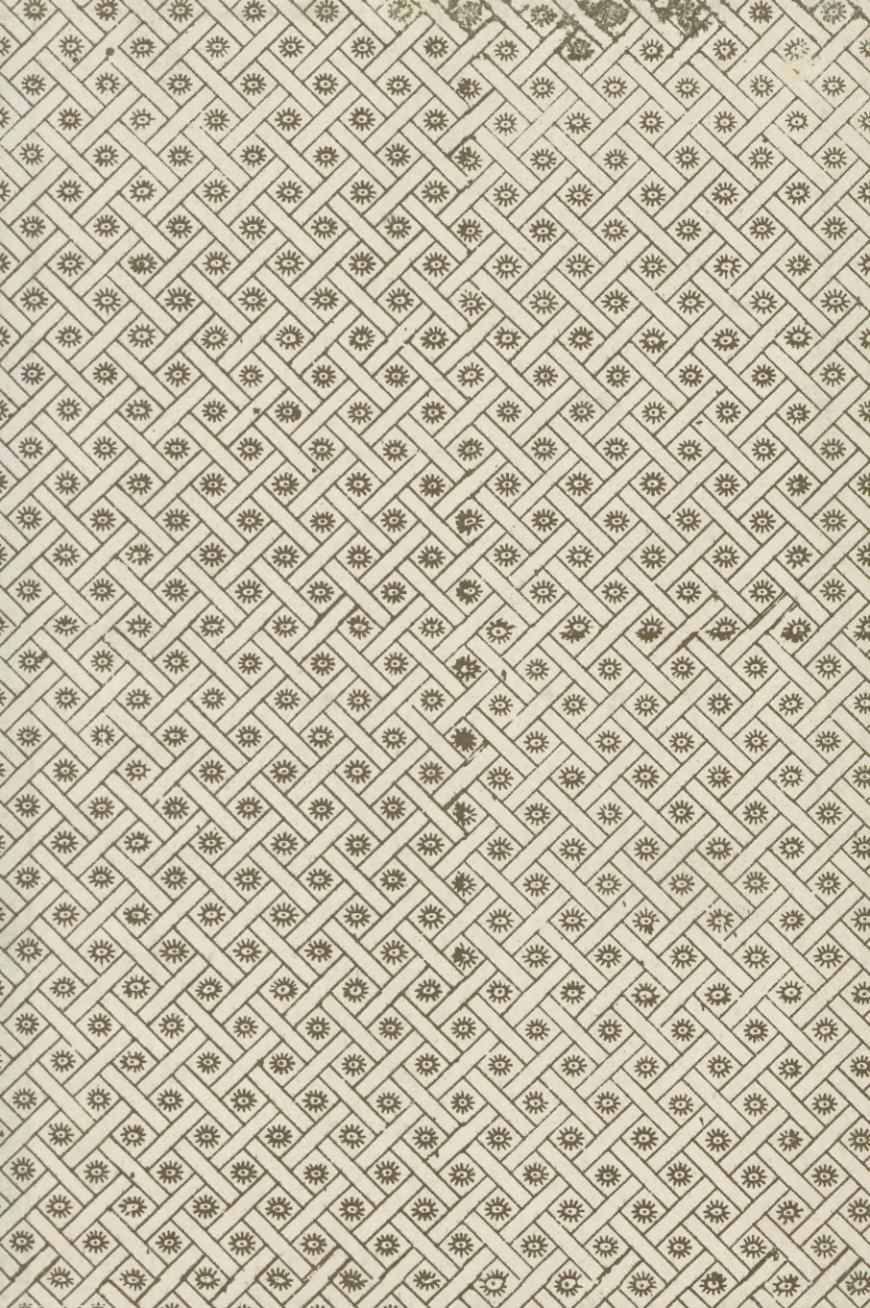
The book cover is a light tan or beige color with a fine, woven texture. It features a decorative border of embossed floral and scrollwork patterns. In the center, there is a large, vertically oriented frame with a scalloped, Art Nouveau-style top and bottom. The title is embossed in a dark, possibly black or dark brown, serif font within this central frame.

Wiązanka
Polska





Wielmożnemu Panu

Y = A = N = O = W = I

Norrmark

Exciquolnemu Panu
Rejentowi.

W otwóde głębokiego
szacunku i powolania
składa w hołdzie swą
skromną próbkę literacko-
autobio-
/ Tytułem 40^{to} letniej rocznicy
swej działalności na scenie/

D: Gm 1902.

Wiązanka Polska.

WIAZANKA POLSKA

składająca się
z gawęd, deklamacyj i humoresek
wierszowanych i prozą

napisana przez

Józefa Cybulskiego

(art. dram., monologistę).

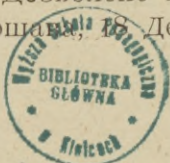
WYDANIE PIERWSZE.

WARSZAWA

Druk i Skład Główny w Drukarni E. Skowrońskiego
Nowy-Świat 43 (Wodewil).

1901.

Дозволено Цензурою,
Варшава, 18 Декабря 1901 г.



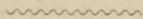
175760

* *
* *

*Skromna ty wiązanko,
Stań się pogadanką—
Biegnij choć najdalej,
Żeby cię czytali!*

*Znajdziemy tu przecie,
Co się działo w świecie,
Co się i dziś dzieje,
I jaki wiatr wieje.*

*Wszakci tylko praca
Umysły wzbogaca,
Możność potęguje
I siłą góruje!...*



D A W N I E J

(Gawęda).

Jak miło w dobranych kole,
Siedząc gromadnie przy stole,
Marzyć o ubiegłych latach,
O zwycięztwach, no—i stratach,
Jakie były w dawnym świecie,—
O młodości naszej kwiecie!...
Gdy przypomnim, jak bywało,
Jak się żyło, jak spijało!
Mówił Marcin do Grzegorza:
— „Oj, braciszku!—taka zorza,
Pono nam się już nie zdarzy,
To się tylko we śnie marzy!...
Dzisiaj wszystko pięknie błyszczy,
Ale bieda, strach, jak piszczy!
Piją wodę, jedzą mało,
Dawniej toby się zdawało,
Że ten piątej klepki nie ma,
Widać w głowach bracie, zima!
Jakieś fraki, czy kaftany
Biorą na się—kiedy w tany
Idą z dziewczką—a kapela,
Co to zwykle rozwesela,
Takie skoki dziś wygrywa,
Że człek, słysząc, aż się zżyma
I nie pęknie omal z złości

Albo—proszę Jegomości—
Dawniej młodzian, gdy się żenił
To przymioty w dziewce cenił,—
Dzisiaj, furda!—grunt jest złoto!
Ono wszystkim, ono cnotą
Choćby nawet mętnej duszy...
Złotko i to wnet zagłuszy.
Dawniej młodzian lat trzydzieści,
Podług ojców naszych wieści,
Gdy na dziewczkę spojrzzał mile,
To już rokowało chwilę,
Że ją kocha, że się złączą,
Że na wieki się połączą.—
Teraz romans trwa sto lat,
Aż z dziewczęcia zniknie kwiat;
Wtenczas powie, że... „za stara!“—
Oj! bodajto nasza wiara!
Gdy uściskał, pocałował,
To już wtedy nie folgował,
Lecz o dziewczki prosił rękę,
I na Zbawiciela mękę
Zaklinał się, że ją kocha!...
Nie powstała tam myśl płocha.
No, i żyli z sobą zgodnie!
Nie jak dzisiaj: nowomodnie—
Wciąż gruchając: o strumykach,
O skowronkach i słowikach
By zagarnąć posag snadnie!
No, i wtedy pięknie, ładnie,
Za granicą wiano strwonić...
Zamiast go uczciwie bronić

I odrzucić wszelkie grzechy,
Ale bronić ojców strzechy...
Albo inna jeszcze moda:
Gdzie nie przyjdiesz, tylko woda
Kurs największy ma na świecie!...
Już przystanę: niechaj w lecie,
Lecz i w zimie wciąż częstują,
Nawet wodą dziś kurują.
Oj, za nas to nie bywało!
Kiedyś przyszedł, to się dało
Dużo jadła, pełno picia,
Laleś w gardło aż do zbycia!
Teraz herbaty szklaneczka,
Lukrem oblane ciasteczka
Zastępują dzban węgrzyna.—
To też terażniejsza mina
Inna bywa u młodziana:
Suchy, blady, twarz zorana...
W młodym wieku istny dziad!
Oj, przewrotny jest ten świat!...
Dawniej—panie—do kościoła
Ledwo koń wyskoczyć zdoła,
Biegł urodziwy młodzieniec,
By na ołtarz złożyć wieniec,
W pokorze i z kornem czołem,
Modlił się z wszystkimi społem...
Dzisiaj się to rzadko zdarza,
Już nie biegną do ołtarza,—
A jeżeli są w kościele,
To modlitwy tam niewiele,—
Tylko zeza wciąż wywraca,
Czy miłości nie namaca...

Obrażając się na matki,
I modlące się gromadki...
Otóż takich mód jest krocie,
Nie zliczyłbyś w czoła pocie.—
Albo proszę: gdzie wesele
Było w domu,—to niewiele
Ceregieli, lecz do tańca
„Poloneza” jak różańca—
Byli zawsze w pogotowiu
W pełnej sile, w czerstwym zdrowiu.—
Ale teraz inny świat,
Zapomnieli dawnych lat!—
Dziś, niejeden myśli jak żyć,
Darmo zjadać i darmo tyć,
A nic nie da, a żałuje,
Życzy „szczerze” i całuje,
„Ot, jak kocha”—myśląc sobie:
„Mam potęgę w mojem słowie!”...
No i błagą wciąż kaptuje,
I na świecie figuruje!
Ale czynów, dobrych chęci,
Nienawidzi mieć w pamięci.”—
— „Oj, to prawda, mój Marcinie,
Przez tych mędrków *wiele* ginie!—
A znowu tych cnych wybranych,
I od Boga powołanych,
Do gojenia trosk ludzkości,
Już niewielu u nas gości...
A jeśli się znajdzie dusza,
Co ją boleść bratnia wzrusza,
To powiedzmy: o, człowieku!
Tyś feniksem jest w tym wieku,—

Cześć, szacunek głosim tobie,
Żyj nam długo! żyj na zdrowiel
Bo dziś takie „białe kruki”
Pomnieć będą pra-prawnuki!”—

.....
No, i Grzegorz coś zmarkocił...—
Lecz go Marcin rozochocił:
— „Śmiało, bracie!—hej, wesolo!
Bóg jest z nami naokoło!”—

~~~~~  
D O M Ł O D O Ś C I

(Deklamacja).

~~~~~  
Patrzysz w świat wesolo,
Czujesz wiosnę w koło,
Wszystko dla cię maj,
Zda się: życia raj!—
Poisz się marzeniem,
Miłości westchnieniem,
Tych światowych mar...
Oh! to słodki czar!

Ty kwiecie wiosniany,
Coś tak pożądany,
Gdy młodością drgasz;
Toż ty cuda masz.
Te słowicze pienia
Dają ci natchnienia
Do niebiańskich dróg,
Co nam zesłał Bóg!—

Lecz umilkną głosy,
Coś wzbił pod niebiosy,—
Gdy skosztujesz zdrad!
Co spadną jak grad.
I uderzą z siłą;
Stojąc nad mogiłą
Powiesz: „Toż to szal,
„Co nam świat ten dał!”—

MIŁOŚĆ MACIERZYŃSKA

(Humoreska).

Śpij, dziecino luba,
Matka cię kołysze
Będiesz moja chluba
Ja to z Niebios słyszę!...
Lulaj, jedynaczku,
Lulaj na pociechę,
Mój drogi synaczku,
Kochaj ojców strzechę!—

.....
Minał lat dziesiątek,
Chłopczyna porasta,
Skacze w każdy kątek
I w pieśczętach wzrasta.—
Pełnoletność chwycił,
Ale nic nie umie...
Lecz mamcię zaszczycił,
Żyjąc w próżnym tłumie...

Mamci złotko sypał
Całemi garściami,
Bo oczkami lypał,
Za świata marami...

I tak żyjąc słodko
W gwarze pohulanek...
Strwonił mamci złotko,
Na śmiechy bogdanek.—

„Lulaj, synku lubyl!”
Już nie śpiewa matka,
Bo synek, syt chluby,
Zamienił się w... dziadka!—

Lecz powiada sobie:
„Teraz się ożenię,
„Wszak-to dziś na dobie...
„Napełnię kieszenie,
„Toż jestem herbowy;
„Każda mi da rękę,
„Więc jestem gotowy
„Oddać się na mękę”.—

Aż tu nieboraka
Panny wyśmiewają,
I męża „próżniaka”
Ze wstrętem żegnają.

.....
Miło słyszeć było:
„Lulaj synku, lulaj!”—
Zanadto się żyło...
A widzisz,—nie hulaj!...—



D J O G E N E S

(Humoreska).

Djogenie! w Helikonie,—
Ty, coś we dnie palił świeczki,—
Patrz, dziś mędrzec w paletonie
Nosi białe rękawiczki.

Djogenie! tyś w pokorze
Żądał słońca dla nędzarza,—
Patrz, dziś mędrzec żyć nie może
Bez salonów i kucharza.

Djogenie! mój kochany,
Tyś pił wodę z własnej dłoni,—
Patrz, dziś mędrzec wydmuchany,
Na szampana złoto trwoni.

Djogenie!—patrz-no wasze,
Inne teraz czasy, leki,
Inne dzisiaj myśli nasze—
Nawet mędrców inne teki...

Djogenie!—o doktorzel
Z beczki głowę wychyl przecie,
A zobaczysz, jak w tej porze
Po modnemu idzie w świecie.

Nie wiesz może, iż świat nowy
Inną teraz przybrał postać,
I ni z pierza, ani z mowy,
Chce mądrałą gwałtem zostać.—
Czyś ty słyszał—powiedz szczerze—
Aby dzisiaj cna dziewczica

Miała pędzić na rowerze,
Nie rumieniać nawet lica?

Tyś wciąż dreptał na bosaka...
A dziś—znają tylko „gumy”...—
I najczęściej postać jaka...
Obryzguje błotem tłумы.

Djogenie! O człowieku!
Coś tak greckie gronił grzechy...
I ty, gdybyś żył *w tym wieku*,
Popelniałbyś nasze grzechy.

~~~~~

## D O W A R S Z A W I A N E K

(Humoreska).

~~~~~

Oh! Warszawianki lubel!
Pamiętajcie o tem,
Że nie zawsze na chlubę
Gonicie za złotem.—
Wszak nie ma, jak potrosze
Przez pracę zdobyte
Te najmilsze nam grosze,
Chociaż już zużyte.
A te pieniążki złote,
Co wam życie słodzą,
Sprowadzą nieraz słotę...
I zdrowiu też zaszkożdą.
Otóż jest w tem sens cały,
Śliczne Warszawianki:
Że ten nasz grosik mały
Złoci syrenianki!

DO NADOBNEJ POŁOWY RODU LUDZKIEGO

(Deklamacja).

~~~~~

Płci nadobna, uwielbiona!  
Tobie, luby kwiecie boski,  
Niosę płody mego łona,  
Moje czucia, moje piosnki!...

Jedno z drugim, datek mały—  
Wiem ja, że to skromny datek;—  
Ależ to jest skarb mój cały,  
Mego serca, uczuć kwiatek!

Wam więc, dusze poświęcone,  
Skladam tę chudobę biedną;  
A wy, z Niebem spokrewnione,  
Poświęćcie im łzę jedną.

~~~~~

J A Ł M U Ź N A

(Podczas ostatniego wylewu Wisły).

(Deklamacja).

~~~~~

Wiek z górą minął,—i dziś napotyka  
Nowy Baudouin zgłodniałą dziecinę,  
Zbolałą matkę, w smutku wyrobnika,  
Z łzami cierpienia, jak za ciężką winę.—  
Z czegoż powstała ta zmiana gwałtowna?  
Jaką wzburzona klęską rozpacz głucha?

Której boleści żadna nie wyrówna,  
Bo nawet głosu cierpienia nie słucha?  
Wezbranej Wisły rozhukane wody  
Bogate plonem wybrzeża zalały,  
Uniosły: chaty, dobytek, ogrody,  
I tylko ślady zniszczenia zostały.—  
Gdzie rzucisz okiem: pustkowie, niedola,  
Co lud bez siedzib po kraju rozpędza;  
Piaskiem i mułem naniesione pola,—  
Zewsząd okropność, a w przyszłości nędza!  
Każdy do miasta z przestachem się ciśnie,  
Po co tam spieszy, czyż pytać potrzeba?  
Gdy czy dzień wzejdzie, czyli noc zawiśnie,  
Wszyscy bez dachu, bez kawałka chleba!...  
Za przewinienia, zbytek i zepsucie,  
Kara nieszczęścia nad krajem się sroży,—  
Droga zbawienia w jałmużnie, w pokucie,  
One odwrócą straszny wyrok boży.  
Niech z serc wypłynie modlitwa gorąca,  
Do Wszechwładnego trosk Pocieszyciela!  
Błyśnie nadzieja błoga, promieniająca,  
Wśród nocy grzechów, jak zorza wesela.  
Lecz kto powróci owoc tylu trudów?  
Kto to ubóstwo wyżywi, ogarnie?  
Święta litościł, tyś jest matką cudów,  
Dotkliwych ciosów ty złagodź męczarnię!  
Niech wszyscy wszędzie, ubodzy, bogaci,  
Chętnie z ofiarą pośpieszą gotowi—  
Bóg, oceniając tę miłość dla braci,  
W złoto zamieni niesiony grosz wdowi!...

# C Y G A N

(Ballada).

~~~~~

Dzień się kończy, noc zapada,
A nasza cała gromada
Nie ma kąta, ni pomocy
Pośród strasznej, ciemnej nocy!
Gdzież wygnaniec nieszczęśliwy,
Biedny, a jednak cnotliwy,
Tułacz ziemi prawie całej,
Znajdzie choć część ziemi malej,
By się mógł schronić przed burzą?...
Czyliż mu lzy nie posłużą
Znaleźć przytułek u świata?
Głód, pragnienie, długie lata
Dokuczają wśród sromoty...
A moje biedne sieroty
Może umrzeć z głodu muszą!—
Zapukam, ludzie się wzruszą...
W tym zamku światło goreje,
Pójdę więc, siebie ogrzeję,
Kęs chleba może wyproszę,
Ręce gdy im łzami zroszę.
Wszak może pan owej włości
Nie odmówi mi litości
Przez wzgląd, że cyganie biedni
Pozostali sami jedni

Bez opieki i bez chleba,
A nagrodzą mu to Nieba!...

Idzie, puka — drzwi zaparte,
A na bramie herby starte
Świadczą o dawności zamku.
Na starej baszty ułamku
Widać działa z wszystkich stron,
Przytem sępów mnóstwo, wron,
Kracze na nim. Wiatr powstaje,
A swem wyciem poznać daje
Straszną burzę! — Niebo błyska,
I ze wszech stron ogień ciska,
Cała natura wzburzona,
Powstaje ze snu uśpiona. —
Lecz niestety! noc ponura,
Chmurę zaciemniła chmura. —

Wtem się otworzyły bramy,
— „Bóg pochwalon niechaj z Wami
„Będzie zawsze, dobry Panie!
„To, co życzę, niech się stanie!
„Racz przyjąć w swój dom sieroty,
„Które wśród strasznej ciemnoty
„Zdala tam w lesie czekają
„I pomocy wyglądają. —
„Ziębnięte, głodem zniszczone,
„Łachmanami obleczone;
„Wśród burzy, okropnej nocy, —
„Błagam, Panie, twej pomocy!
— „Nędzny prochu, marny rodzie!
„Czy to w lesie i na chłodzie
„Niedość dla was? — jeszcze chcecie
„Pozostawiać tutaj siecie,

„By nas spalić i zrabować?

„Nie godzi się was żałować!—

„Precz mi z domu, bo cię psami

„Razem z twymi gałganami

„Każę wyszczyć!—Hej! wasale!

„Nie żałować kija wcale,

„Aby poczuł, że u pana,

„Skoro obietnica dana,

„Dotrzymaną też być musi!

„Drugi raz cię nie pokusi,

„By odwiedzać progi moje!

„Zbieraj dalej nogi swoje,

„Bym cię więcej nie oglądał,

„I byś jałmużny nie żądał!—

Tak odszedł, sponiewierany,

Cygan, już przez nas poznany,

Dążąc do swego taboru,

Co się został pośród boru.—

Biedny, nieszczęsny cyganie!

Lepiej pono w średnim stanie

Szukać duszy litościwej,

Choć uboższej, lecz cnotliwej.

Ta cię wesprze radą, chlebem,

I błogosławieństwa Niebem. —

Pójdiesz z Bogiem w swoje kraje,

A tam twoje obyczaje

Nie będą z nędzy natrzasać,

I jak mrówki przykro kąsać.

O! stokroć szczęśliwszym będziesz,

Gdy w samotności osiedzisz,

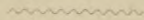
Wielbiąc Boga, Pana świata,

W twe podeszłe wiekiem lata, —

I tak dąży do gromady,
Bez chleba, wsparcia, porady.
Wschód słońca jasny powitał
I na Niebie, sam wyczytał,
Że te dusze litościwe,
Na nieszczęścia obce tkliwe,
Które wesprą nędzę jego,
I oddadzą mu część swego,—
Co im dostaje w dobytku,
Prędzej, niż ci, co wśród zbytku
Pędzą życie, trwonią złoto,
Co już rozbrat wzięli z cnotą!—
U tych pono próżna praca,
Tam rozpusta życie skraca.
Nie chodź do nich,—bo nie warto,
Tam dla nędzy drzwi zaparto.

.

Tak uczynił: jał się pracy,—
A znaleźli się wnet tacy,
Którzy mu swą dłoń podali
I za brata go uznali.



R O Z P A C Z

(popis dramatyczny).



Cóż to jest? gdzie ja jestem? co się ze mną stało?
Czyliż Niebo nieszczęścia tak wielkiego chciało?
Czyliż z losów przeznaczeń okrętu rozbicie
Ma mi wydrzeć spokojność, małżonkę i dziecię?
Dlaczego fale morskie, gdy okręt rozbiły,
Wszystkiego pozbawiając, życie zostawiły?
Życie takie okrutne, goryczą zatrute?
Możeż człowiek za grzechy znieść taką pokutę?
Czyliż za to, że szczerze tak kochać umiałem,
Nieszczęśliwym dziś mężem i ojcem zostałem?
Ach, ojcem!—cóżem wyrzekł? na samo wspomnienie
Siły mnie opuszczają. Jakież przeznaczenie!
Ty patrzysz?—myślisz może, że cię trzyma matka?
Jeść prosisz?—i cóż ci dam? chyba krwi ostatka
Jedną kroplę udzielię, niech będzie napojem,
Wyssij krew ojca twego, boś jest synem moim!
Ty nie chcesz? I dlaczego gardzisz krwią ojczystą?
Czy pragniesz struć dni moje goryczą wieczystą?
Czy żądasz abym życie myślą jedną sterał,
Że syn z głodu na ręku ojcowskiem umierał?
Ty płaczesz?—Oh, jak wielka mych nieszczęść oznaka,
Nie chcę wiedzieć o tobie, gdy nie wiem, gdzie Żaka!
Może ona nie żyje?... Gdy jej nie zobaczę,
Wszystkie chwile mych cierpień rozpaczą oznaczę.
I żyć już odtąd będę jako hydra wściekła!
Świat dla mnie będzie niczem, a bożyszczem piekła!

Życie moje niech odtąd będzie życiem gadul
Co się wije i pieni, konając od jadu.—
Niechaj mnie nie opuści tych piekieł ohyda,
Póki nędznego ducha pierś moja nie wyda.—

Lecz po co ja to mówię? Wszak to w mocy Boga;
O Boże! Boże! wskaż mi, gdzie do szczęścia droga?
O Ty, co myślą, życiem, tchem człowieka władasz,
Ty, co dobroć i możność najwyższą posiadasz,
Udziel mi swej pomocy choć w małej iskierce,
Abym mógł to wynurzyć, co czuje me serce:

Panie! wszystko we wszystkim co Twą moc wyraża,
Co ludziom dni upiększa, co natura stwarza...—
Pocoś, tworząc mnie na świat, dał imię człowieka?
O jak szczęścia nadzieja jest dla mnie daleka—
Wolałbym być zwierzęciem albo martwym głazem,—
Nie umiałbym tak kochać, czuć i cierpieć razem,
Nie znałbym co to dobrej nadziei jest czekać,
Nie mógłbym także na swój los dzisiaj narzekać.

Lub gdybym się urodził wśród lasów pustyni,
Znałbym tylko naturę, nie znał, co źle czyni,
Tamby tylko nademną wznosiły się ptaszki,
Nie znałbym nic zmiennego, prócz samej igraszki,
I takie życie pędząc nawspół z zwierzętami,
Wiek dla mnie byłby rokiem, a rok momentami.

Albo gdybyś mi lepiej kazał być kamieniem,
Z jakimżebym spokojnem leżał dziękczynieniem—
Słońceby mnie ogrzało a zefir ochłodził,
Spocząłbym na tej ziemi, na której się rodził.
Mchem okryty, leżałbym chociażby wiek wiekiem,
A tak byłbym szczęśliwy, nie będąc człowiekiem!
Bo cóż to jest ten człowiek?—jest to zwierz rozumny,
Zły, słaby, mściwy, płaski, a z natury dumny,

Człowiek jest to zwierz swojski, to tylko w nim chwale,
Że gdy kocha szlachetnie, umie kochać stale!—

Oh! i ja moją Żakę tak mocno kochałem...

Oh! Boże wszechmogący! czyż ją postradałem?...

Nieszczęsny!—jeśli więcej jej widzieć nie będę,
Wszystkich moich męczarni wraz z życiem pozbędę.
Oddech życia samotny nie cenię zbyt drogo,
Lepiej umrzeć, niż w świecie nie mieć żyć dla kogo.

Boże, wszak to w Twej mocy! Wysłuchaj mnie, Panie!
Zabrałeś mi małżonkę, zabierz i kochanie—

Łzami błagam: skróć życie, zabierz nędzną duszę!—

Ale, stój! nie zabieraj, ja przecież żyć muszę,

A toż biedne niemowlę, czyż ma samo zostać?

Jam go winien wychować, bom dał życiu postać.

Pójdź, niechaj cię przycisnę do mojego łona...

Ach, jak błady! jak zimny!—co widzę? on kona!...

Synu! skarbie—litości! o Boże! nie żyje!

Ach czyż mogą być większe już cierpienia czyje?...

Och! nacóżem się rodził, do czegoż wzrastałem,

Na com widział, czuł, słyszał i po co kochałem?!

Wolałbym być przykryty śmiertelnym całunem,

Niżli zostać rażony miłości piorunem,

Niżli poznać moc wdzięków i żyć tak rozwlekłe,

Wolałbym być pogrążon na samo dno w piekle!

Złem jest piekło—lecz gorsze w mojem sercu noszę,

Tamto piekło uznałbym za Nieba rozkoszel!

Tamto piekło jest pewno od tego łaskawsze,

W tamtem piekle wolałbym pozostać na zawsze.

O, nieszczęsny człowieku! zewsząd opuszczony!

Bóg nie chce mnie wysłuchać, nie mam syna, żony;

Samemi zmartwieniami otoczon dokoła...

I cóż pocznę?... Co słyszę?—to Żaka mnie woła—

Gdzie jesteś? żono moja!—oh, tyś pewno w Niebie!
Chciałbym tam być przy tobie, lecz niegodny ciebie...
Ciebie na świecie żadna nie zmasała wina,
A jam jest synobójca, ja zabiłem syna!

Ciebie mi wszak zabrały rozhukane fale—
I czegoż jeszcze czekam?—poco głoszę żale?
No, zmoro morska! dalej mą głową zwał w skały,
Już nie chcę tego życia—ani jego chwały...

Umrzeć na świecie to los każdego człowieka,
Niemądry, kto na koniec swych cierpień narzeka.
Życie ludzkie pajęczy utrzymuje wątek,
Jako z niczego koniec, z niczego początek!
Przeszłość jest nieugięta, niepewna przyszłości—
Jako tu niczem byłem,—wracam do nicości!

A K T O R *)

(Deklamacja).

Wszakci zawód aktora to jakby grał w kości:
Dziś ma obiad zbyt suty, —jutro znowu pości...
I choć chłodno a głodno, choć odzież już płowa,
Ma on zawsze animusz i... do góry głowa!

Majątku on nie zrobi... grosza nie utrzyma—
Na los swój nie narzeka, chociaż ducha nie ma.
I choć czasem szparami wieje wicher chłodny,
On sceny nie porzuci, choć najbardziej głodny.

*) Z prowincji.

Aktor, gdy z iskrą bożą, to koń pociągowy,
On w rolach wszystkich musi być zawsze gotowy.
Dzisiaj gra wszak Romea, jutro Franka Moora,
Pojutrze znów Bartosa, lub żydka faktora.—

Co dziwno, że też nieraz, dla braku obsady,
Włazić musi do „budki”, *)—nie ma na to rady.

Takie to już są losy tych tułaczyh dzieci..

Którym gwiazdeczka szczęścia niejednako świeci.—

Mają jednak i oni też chwile szczęśliwe,
Gdy usłyszą *oklaski* przez dłonie życzliwe,
Ten oklask im wystarcza za łzy i niedole,
Jakie w życiu ich grają zbyt często swe role...

Scena jest to pokusa, lecz ją kochać trzeba,
Oby więc jaknajprędzej chciały dać nam Nieba,
Ażebym ludzkość nasza, zawarłszy przymierze,
Swojską sztukę podparła bratersko i szczerze,
I z całym poświęceniem tworząc życie nowe,
Otwierała, gdzie się da, „Teatry ludowe”—
Aby w nich po dniu pracy nasze biedne klasy
Wzór brały, że i sztuka nie idzie na lasy!



*) Suflernia.

Z A Z D R O Ś Ć

(Humoreska).

Przysłowie stare powiada
Niczem miłość bez zazdrości—
Najlepsza więc na to rada:
Nie psuć zazdrością miłości,—
 Kiedy więc jest dusza czysta,
 A zdobna w przymioty wielkie,
 No, to wszak rzecz oczywista,
 Rzucić precz zazdrości wszelkie.
Bo ta pewność choćby siebie,
 Żeś kochana,—starzyć winna,
By nie patrzeć po-za siebie,
Czy się nie podoba „inna?”—
 I tem dręczyć wciąż człowieka,
 Co winien Bogu swą duszę,—
 Cisza domowa ucieka...
 I, nastają... co? katusze.
O! bo ten robak zazdrości
To wróg—co wszystkiemu szkodzi—
I w najczystszej choć miłości,
Mąż z żoną się też rozchodzi.—
 Więc kto jad zazdrości wkluczył,—
 (Chyba nie duch, co jest z Nieba)
 Bodajby się ciągle włóczył
 Po piekle, gdzie takich trzeba!
A wtedy stare przysłowie:
„Niczem miłość bez zazdrości”
Da raz wypoczynek głowie
Znanej z *uczciwej miłości!*

„WIARA, NADZIEJA I MIŁOŚĆ”

(Humoreska).

Z wiarą w Boga, z wiarą w ludzi
Codzień matka dziecię budzi—
I w paciorku wciąż powtarza,
Że Bóg z wiarą duszę stwarza.
Wierzyć w wiare, to skarb miły,
On nas krzepi, daje siły
I toruje nam wciąż drogi,
By nie doznać jakiej trwogi.
A znów czasem... „wiara” w ludzi
Oj, do szpiku cię ostudził!
Gdy uderzą naraz gromy,
I pocisków pełne sromy.
„Nadzieja” to „głupich matka”—
Ta z pewnością do ostatka
Głowy ludziom pokręciła
I rozумы zeszpeciła.—
Choćby tylko dla przykładu:
Czy w nadziei jest co ładu?
Jak szerokie, długie morze,
Nadzieja nic nie pomoże...
„Miłość,” prawda, piękne tętno;
Och, jest nawet i namiętną,—
Lecz ta miłość, co nas poi,
Często straszne figle stroi.—

Wszakci nieraz dla miłości—
Poskręcają w grzbiecie kości,
Albo za miłosne gratki
Wsadzą grzecznie cię... za kratki.
 W tem tylko niemylna „wiara,”
 Że jak jest nas cała chmara,
 Wszyscy kiedyś legniem z duszą,
 No i ziemią nas przypruszą.
„A nadzieja”—ta, prawdziwa!
Kiedy zbierzesz piękne żniwa,
I spichlerze masz już pełne,
Lub gdy sprzedasz dobrze wełnę.
 Tą nadzieją nadziewają
 Wszystkich brzuszki... ubierają
 Wełniakami ludzkie ciała—
 Wtem to naszej szlachty chwała!
„Miłość” wtedy *pięknym* mieni,
Gdy masz setki w swej kieszeni,—
Wówczas wszyscy cię kochają,
Pod Niebiosa uwielbiają!

WSPOMNIENIE O „HALCE”

operze Stanisława Moniuszki,

wystawionej pierwszy raz w r. 1858 na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie.

(Z prawdziwego wydarzenia).

„Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi”—powiada przysłowie.

Tak też było i ze mną; i zamiast co miałem zostać księdzem, to zostałem aktorem, a to wszystko przez „Halkę” Moniuszkowską.

Wprawdzie wyznaję z ręką na sercu, iż do nauki w młodocianych moich latach nie miałem wielkich skłonności, i tylko dzięki moim korepetytorom przeszedłem z promocją do 6-ej klasy gimnazjum realnego, a dalej ani rusz!

Miałem wtedy lat 17-cie (było to w roku 1858) i właśnie w tym czasie, jakby dla ironji lub przełomu w mojej karierze kapłańsko-zakonnej, wystawiono na scenie teatru wielkiego w Warszawie po raz pierwszy „Halkę.”

A ponieważ w zamian nieudolności mojej do nauki, zaciekle byłem zwolennikiem teatru i rezonowałem o sztuce i grze aktorów jak stary,—co właśnie nie

było na rękę moim rodzicom, którzy mieli zacofane pojęcia o teatrze, nazywając ten cały chaos „szarlatanerią i komedjanturą” — więc powzięli myśl sposobić mnie do stanu duchownego, do którego mi ani się śniło, mając głowę wyłącznie zaprzątniętą dramatem, komedją a nawet... baletem!

Zkąd i jakniebądź grosz wydobyć, aby być w teatrze, było mojem jedynem marzeniem!

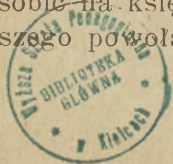
Mój Boże! co ja za to „wałów” dostawałem od mego ojca, toby tego na wołowej skórze nie spisał!

Pocziwina moja matka, jak każda miłująca ślepo swojego najmłodszego synusia—zasłaniała mnie swojemi plecami przed wymiarem sprawiedliwości ojca i często biedaczce mimowoli coś się dostało, co należało się mnie, a za co potem ojciec mój, ochłonawszy z uniesienia, rzewnie ją przepraszał.

Ale i tego miarka się przebrała — i pewnego pięknego dnia, przywoławszy mnie rodzice do siebie, (oj, poczułem coś wtedy niemiłego w powietrzu),—wystąpili z reprzymandą, że dosyć już mego bałamuctwa, dosyć mam teatru i należy pomyśleć stanowczo o ustaleniu swego losu, przyczem rodzice znajdowali go jedynie w stanie duchownym, t. j. w umieszczeniu mnie na nowicjacie w klasztorze O.O. Dominikanów, będących jeszcze naówczas w Warszawie przy ulicy Freta.

Postanowienie takie przeszło mnie mrowiem po całym ciele. Skostniałem, oniemiałem prawie! Nareszcie ochłonawszy nieco, wybelkotałem zaledwie te słowa:

— Co? mnie rodzice chcą oddać do klasztoru i sposobić na księdza? Ależ ja nie mam do tego najmniejszego powołania! Ja nie chcę!



— Ha, urwisie jakiś! wolisz teatr?! — odezwał się mój ojciec podniosłym głosem,—smakuje ci heca i komedjantki? powiadasz, że nie masz powołania?...

I schwyciwszy za dębczak, stojący w kącie, dodał:

— Widzisz go? — ja w nim tu zaraz znajdę dla ciebie powołanie!

I żeby nie była stanęła w tej chwili w obronie mojej pocziwina moja matka, uczułbym rzetelne dopasowywanie do swoich pleców niegodziwego dębczaka.

Przekłęta lacha! Co ona mnie nieraz strachu i bólu nabawiła!... Ileż to razy chciałem ją usunąć z domu, połamać i spalić, ale mi się to jakoś nie udawało, obawiałem się odpowiedzialności, gdyż ojciec mój był bardzo domyślnym, łatwo odgadującym i zdatnym na sędziego śledczego, chociaż całe życie swoje był ziemianinem.

Dlatego też na widok mego „wroga“ dębczaka byłem zwykle posłuszny ojcu i spełniałem jego wolę, więc i tym razem buchnąwszy do kolan ojcu, zawołałem z całą rozpaczliwą rezygnacją:

— Dobrze, kochany ojcze, będę ci posłusznym i zostanę księdzem!

Wtedy ojciec, pochwyciwszy mnie w swoje objęcia, rzucił dębczaka na ziemię, — a przytuliwszy mnie do piersi, aż mi coś w krzyżach zatrzeszczało, zawołał:

— Tak, chłopcze, tak mój synu, tak być powinno! Dzieci winny się zawsze stosować do woli rodziców i być im posłuszne! Widzisz żono—zwróciwszy się do mojej matki—nasz chłopiec uratowany!...

Pomyślałem sobie w duszy: „tak“, ale na widok dębczaka...

Rodzice zaczęli mnie obcałowywać, matka lzy ronić i koniec końcem stanęło *punctum*, że będę księdzem, a może dojdę do godności kanonika, prałata i t. d.

Ot, i skończyły się moje piękne dni swobody teatralnej, a jam się ujrzał zamkniętym w murach klasztoru...

Był to dla mnie wyrok straszny i—co boleśniejszą—niezmienny, bez apelacyi i drogi łaski.

W kilka dni potem anim się spostrzegł jak zostałem umieszczony w nowicjacie O.O. Dominikanów jako „nowicjusz”.

No, i taki zapaleniec, teatroman jak ja, musiałem się zgodzić z mojem przeznaczeniem, stosując się z całą sumiennością do przepisów klasztornych: wstawać bardzo rano a kłaść się spać razem z kurami, odbywać ściśle dzienne lekcje, chodzić na chóry, być strzeżonym na każdym kroku, jadać w refektarzu z miseczek cynowych karm „drugiego stołu,” podawany najczęściej przez „braciszka” silnie zatabaczonego... i, wreszcie, jak przypadała kolej, z porządku rzeczy, pójść o godzinie 2-iej po północy z drugim nowicjuszem do kościoła, ażeby przez jakie co najmniej pięć minut dzwonić w sygnaturkę na „jutrznię,” kiedy najczęściej w kaplicy św. Jacka leżało po paru nieboszczyków na katafalkach.

Oj, wtedy to mi włosy dębem stawały, a zwłaszcza że byłem bardzo bojaźliwym, nasłuchawszy się w dzieciństwie wiele bajek o duchach, jakie wygłaszały stare służące w domu moich rodziców.

Otóż ta sygnaturka była dla mnie prawdziwą torturą i zwykle po tem dzwonieniu powracałem na nowicjat cały w potach, zlorzecząc godzinie, w której na świat przyszedłem.

Alé za to kiedy w dziennej porze byłem wraz z moimi towarzyszami-klerykami wolnym po lekcjach, jakież ja im nie przedstawiałem sceny teatralne na nowicjacie naszym!

Kiedym np. udawał Szaruckiego, szewca z kome-
dy „Majster i czeladnik” (rolę Żółkowskiego), „Icka za-
pieczętowanego” po Skomorowskim, a wreszcie role
niektóre Panczykowskiego, Chomińskiego i t. d.!

Śmiano się ze mnie, a w dowód wdzięczności za
ubawienie towarzysze moi obcałowywali mnie zawzię-
cie, no, i w ten sposób tak sobie ich skaptowałem, że
bardzo mnie polubili, a nawet za mną w ogieńby
poszli.

Nie ma co mówić, piękny ze mnie był aspirant do
stanu duchownego—prawda?

Niejedni klerycy między sobą szeptali:

— No, jeżeli ten figlarz będzie księdzem, to nam
włosy na dłoni urosną.

A jednak w obec starszych zgromadzenia umiałem
być niuńką, skromnym, potulnym, nabożnisiem, nawet
jakbym trzech zliczyć nie mógł, a był zrodzonym je-
dynie dla murów klasztornych.

Nic więc dziwnego, że starsi ojcowie mówili do
siebie:

— Ten aspirant, chociaż warszawiak, lecz bardzo
obiecujący dla naszego konwiktu—i widoczne mieli ci
poczcivcy dla mnie względy.

Tak upłynęło cztery tygodnie od przybycia mego
na nowicjat, a tygodnie owe pomimo moich figlasów
wydawały mi się wiekami.

Nareszcie jakimś szczególnym trafem popadł się
nam w nowicjacie jeden numer „Kurjera Warszawskie-

go“ (wychodzący wtedy w bardzo małym formacie, nie jak w dzisiejszym, a który, dziś prenumerując, oprócz światłych wiadomości naukowo-społecznych i wielu innych bardzo ciekawych artykułów, jakie pomieszcza w sobie, ma się i ten zysk, że sam papier, chcąc go spieniężyć, powraca koszt prenumeraty).

Zaczęliśmy go wertować i natrafiliśmy na wzmiankę pobieżną, że za kilka dni będzie wystawioną na scenie teatru Wielkiego opera polską Stanisława Moniuszki pod tytułem „Halka.“

— Co? „Halke“ wystawiają w Warszawie? wrzasnąłem na całe gardło.

A kiedy zapytano mnie, czy ją znam?—odpowiedziałem, że nigdy nie widział jej na scenie, ale słyszałem o niej istne cuda, o których opowiadał pewien dobry znajomy rodzicom moim, przyjechawszy z Wilna do Warszawy.

Dlatego na wiadomość o „Halce,“ mającej się ukazać na scenie warszawskiej, podskoczyłem tak wysoko, że głową wyrznął o sufit, aż tęgiego guza nabilem...

Od tej chwili zacząłem się nosić nieustannie z myślą, ażeby się mózż przedostać jakim cudem na pierwsze przedstawienie „Halki“.

A z klasztoru nie było to tak łatwo.

Wpadła mi tedy myśl szalona do młodej mózżownicy.

Podmówiwszy cichaczem trzech kleryków z zamiarem wysunięcia się z murów klasztornych w ścisłym sekrecie, postanowiliśmy bądź co bądź wybrać się na „Halke“ w zapowiedzianym przez „Kurjerek Warszawski“ dniu, deliberując godzinami nad planem na-

szej wycieczki, aby nas nie odkryto i nie doniesiono poprzednio o tem do władzy klasztornej.

Nie od rzeczy będzie tu nadmienić, że według zwyczaju klasztornego wejście do klasztoru było ściśle zamykane z wybiciem godziny 9-tej wieczór, a klucze od furt zanoszone przez furtjana do mieszkania przeora.

Lecz przypomnieliśmy sobie, że z dolnego kurytarza wychodziła furteczka na ogród klasztorny i nie była niekiedy zamykaną na klucz; ztąd, dostawszy się do tegoż ogrodu, można było bardzo snadnie przesa-
dziwszy drewniany parkan, dostać się na placyk zwany „dominikańskim,“ a potem na ulicę Mostową.

Powrót tą samą drogą mógł być również zapewniony.

Nareszcie nadszedł dzień tak gorąco przez nas wyczekiwanej „Halki.“

Dalej zatem, do dzieła!

Przywołujemy więc do siebie Sowę.

— Sowę?—co to znaczy, zapewne zapyta czytelnik?

„Sową“ [przezwany był biedny sierota, człowiek do posług na nowicjacie, straszny niechluj, ogorzały jak cygan, z włosami Djogenesa, nigdy nie czesanemi, z wyglądem idjotycznym—ale sercem najuczciwszego człowieka.

Wychował się od dziecka w klasztorze.

Zkąd się tu zabląkał i kto go rodził,—nietylko on sam nie umiał tego objaśnić, ale i nikt nie był w stanie udzielić o nim bliższych szczegółów.

Sowa miał z górą lat czterdzieści.

Żywił się przy kuchni klasztornej pozostałością potraw z refektarza po księżach, gdyż klerycy, będąc

zawsze przy dobrym apetycie, połykali do żdźbła swoje jadło.

Sowa jedynym był do zachowania powierzonego mu sekretu i dałby się zabić, byleby zaufania nie stracić.

Jedną tylko miał wadę, że był do obrzydliwości łakomym na jadło. Coniebądź popadł, zjadał żarłocznie, uskarżając się zawsze, że nigdy się najeść nie może. Biedak często bardzo odbierał bolesne napomnienia od ojca-szafarza, kiedy temu coś zwędził, przynosząc ze spiżarni produktu spożywcze do kuchni.

A trzeba wiedzieć, że ojciec-szafarz posiadał siłę herkulesową: był olbrzymiego wzrostu, tęgi, barczysty—jak kogo macnął swoją ręką ciężką a obszaru łopaty, to z pewnością powalił go jak nic na ziemię, pozostawiając najwyraźniejsze ślady zasiniaczenia na ciele pokonanego.

Nic więc dziwnego, że cała służba klasztorna drżała przed ojcem Zenobim, energicznym szafarzem.

Bywało nieraz, że biedny Sowa chodził zgięty w pałąk i ciężko stękał, a kiedy go zapytano:

— Sowa, coś ty dziś tak pogarbacił swoje plecy i czego stękasz, czyś głodny?

On na to:

— Ehe, głodny! ale mi się już i jeść odechciało, gdy spoczęła ta przeklęta „łopata,” rączka kochanego ojca szafarza na moim grzbiecie.

— Zapewnie znowu mu coś zbroileś?

— Ot, wielkie rzeczy! Przenosząc ze spiżarni do kuchni jajka, wypilem trzy na surowo. Toć przecie człek ich ułaknie, kiedy tymczasem imć ojciec sza-

farz polyka ich po pół kopy w jajecznicy! Ale tak to bywa, że biednemu zawsze wiatr w oczy.

Co zaś do rzetelności tego upośledzonego od natury nieszczęśliwca, na grosz nikogo nie okpił—poprosił, ale nie wziął i złamanego szeląga nikomu.

Zawezwany przez nas Sowa miał poleconem, aby pod sekretem najściślejszym poszedł z samego rana w dzień pierwszego przedstawienia „Halki“ po nabycie dla nas biletów paradyzowych do teatru (jakie były w owym czasie po kop. 22¹/₂), przyobiecawszy mu złotówczynę, jeżeli się gracko sprawi.

Na wspomnienie przyobiecanej złotówki Sowa skakał z radości, wykrzykując:

— A to sobie dziś grzmotnę alembikówki!

Poszedł do kasy teatralnej—i wrócił nie prędzej z biletami aż po południu.

— Sowa, gdzieś ty był tak długo? pytaliśmy.

— Ba! gdzie byłem—jużcić przy okienku tej przekłetej kasy teatralnej, do której się dostać nie mogłem, bo tłok straszny, a kupujący bilety wciąż mnie gnietli, popychali, szturgali i ani weź, nie dali zbliżyć się do tego lysego pana co sprzedawał bilety (Zalewski).

Tym sposobem byliśmy już posiadaczami biletów. Teraz tylko wypadało spoić Wojciecha, furtjana klasztornego, ażeby czasem nie zamknął furtki ogrodowej na klucz.

Ale to było najłatwiejszą rzeczą.

Zeszedłem do furty i powiadam:

— Wojciechu, macie tu odemnie dwuzłotówczynę, którą wam już dawniej obiecałem za wasze niekiedy opowiadania tak dla nas zajmujące z waszych wypraw

z Napoleonem do Hiszpanji i t. p.—i od którego otrzymaliście order „Virtuti militari“.

— Bóg zapłać, Bóg zapłać panoczku,—ba, ba, jeszcze panom dokończyć muszę jak to było z nami pod Samosierra, kiedyśmy to...

I byłby już rozpoczął swoje opowiadanie, gdybym mu takowego nie przerwał poleceniem, aby dziś wieczorem nie zamykał furtki ogrodowej, pozwalając nam niektórym, spragnionym widoku księżycowego, pospacerować ukradkiem po ogrodzie.

Wojciech, starzec 78-o letni, bielutki na głowie jak gołąbek, gniotąc dwuzłotówczynę w swej garści, i zapewniając mnie o spełnieniu życzeń moich, dodał:

— Wszystko będzie dobrze, panie *aspirancie!* bądź pan „aspirant“ spokojny, ba! ba! księżyc... pamiętam, kiedy to było pod...

— Dobrze, dobrze, opowiecie mi to innym razem, panie Wojciechu, a dziś nie mam czasu i biegnę na nowicjat,—bywajcie zdrowi!

A odchodząc od niego, dosłyszałem jego uprzywilejowane: „szkoda, *sapristi!*”

Po odbytej wieczery w refektarzu i modlitwach wieczornych zabraliśmy się do naszej wyprawy na „Halke,“ ale nie mogło to prędzej nastąpić aż po zamknięciu furty i rewizji starszego djakona po celkach, czy wszyscy klerycy znajdują się w należytej liczbie i w porządku, jednocześnie o godz. 9-ej z zamknięciem furty.

Rzecz naturalna, że o poznaniu pierwszego aktu „Halki“ nie było można nawet marzyć.

Zaczęliśmy się nareszcie po jednym, cichutko na palcach wymykać z nowicjatu, a sprawiając się w tem

gładko, szczupakowymi krokami postępując ostrożnie, dotarliśmy do ogrodu, a ztąd przez parkan przesadziwszy jak jelenie, znalazłszy się na „dominikańskim“ i ochłonawszy z trwogi, pomaszerowaliśmy Mostową wprost do teatru.

Nim jednak weszliśmy do przybytku Melpomeny, zastrzegłem moim towarzyszom, żeby swoje białe habity pozaciągali pasami pod górę, zakrywając je szczerlnie płaszczami i obwiązali się chustkami pod brodę, na znak bólu zębów—co wszystko miało zachować ich przed domysłami, że są ludźmi duchownymi.

O siebie zaś mogłem być spokojnym, gdyż jako aspirant, pozostawałem jeszcze w cywilnem ubraniu, które miałem zdjąć nazawsze dnia następnego, w przypadających moich obłóczynach.

Na paradyz wmykaliśmy się pojedynczo, dla odsunięcia jakiegobądź na nas podejrzenia.

Paradyz ten dobrze był mi znanym przez odsiadanie na nim prawie każdego przedstawienia od czasu zakosztowania teatru. Paradyzu nie nazywano inaczej jak „jaskółką“.

Oj, pamiętne mi są jeszcze dotąd przepędzane wesołe chwile na tej jaskółce! Tu, nim poszła w górę kurtyna, rozgrywał się drugi teatr. Zwykle, chcąc otrzymać dobre i w pierwszej ławce miejsce na jaskółce, należało przybyć tam co najmniej na półtorej godziny przed rozpoczęciem sztuki—poczekawszy przed otwarciem paradyzu za drzwiami z jakie pół godziny.

A gdy nadeszła chwila wpuszczenia na jaskółkę tłumnej masy wyczekującej za temiż drzwiami, oj, trzeba było widzieć, co się wtedy działo, jak jeden przez drugiego spieszył się, przeskakując ławki, aby zająć

dogodne siedzenie, a ulokowawszy się tam według prawa mocniejszego, rozpoczynano chórem ogólną pogawędkę.

Przedewszystkiem chciano się dowiedzieć, gdzie kto zasiadł ze znajomych, nawoływaniem i odpowiedziami:

— Puszczyk! gdzie jesteś?

— Alcybiades! siedzisz dobrze?

— Boruta! a gdzieś ty?

Odpowiednio do tychże pseudo-imion, odpowiadało innemi również.

Tu znowu dochodzą obok i z przeciwnej strony „jaskółki“ głosy:

— Ależ panie, panie, nie popichaj się tak mocno bo mnie ugniecieś!

Druga znów żydóweczka woła:

— Pan jesteś paskidnik, odsuń się najdali, bo zawołam na mamę!...

W końcu żółtowołosy izraelita, stawiając się sztorcem, grozi przywołaniem „pana dozorcę“ i t. d. i t. d.

Z tem wszystkiem istna była pociecha na „jaskółce“.

Wreszcie ukazuje się kobieta z dzbankiem wody, sprzedając takową na szklanki.

Powstają głosy:

— Babciu! babciu! tu z wodą chodźcie, tu!

— Babciu! do mnie, do mnie chodźcie, płacę trojaka z góry za trzy szklanki!

A często nawet babcia i na kredyt dała wody stałym jaskółowiczom, co było poniekąd pewną wygodą dla goljaszów, spragnionych napoju groszowego.

Po półgodzinnych takich i wielu innych scenach paradyzowych, następowały nowe, w odmiennym już rodzaju.

Naprzekład, zapalano główny żerandol i pociągano go w górę; wtedy wołano z paradyzu:

— Wyżej! niżej! jeszcze wyżej!

Zjawia się w krzesłach jakaś można facjata, w cylindrze na głowie, szukając swego numeru, aż wołają z paradyzu:

— Pani! panie ładny! z rurą na głowie! Zdejm ją, bo dostaniesz kataru!—i dotąd tego krzesłowicza prześladowano, aż zmuszony był odkryć głowę.

Po niejakej chwili ukazuje się w orkiestrze najpierwszy muzykant.

Na paradyzie daje się słyszeć ogólne zadowolenie, objawione licznemi „a! a! a! a!”

Wchodzi drugi muzykant, znowu się powtarza toż samo co i z pierwszym...

Nakoniec zaczęto stroić instrumenta w rodzaju „kociej muzyki“.

Paradyzowcy, zatykając sobie uszy, wołają:

— Panowie skrzypicie! dosyć! dosyć tej fanfary!

Niekiedy zdarzało się nam, tak zwanym „scyzorykom“ (gimnazystom), że nie było gronia na kupno biletu paradyzowego, to wtedy koledzy myśleli o losie gólasza i wynosili mu zdobytą szczęśliwie kontramarkę.

Ale to wtedy tylko, gdy nie było biletera na paradyzie, nazwiskiem „Krull“.

Ten Krull był olbrzymiego wzrostu, strasznie silny i bystry w kontrolowaniu przy wydawaniu i odbieraniu kontramarek.

Dość było dowiedzieć się, że „krulik“ na paradyzie, a wtedy biedny „scyzoryczek“ nie miał co czekać na dole przed teatrem na kontramarkę i wracał smutny do domu.

Przebrzydły Krull nieraz stawał się tak niegrzecznym dla nas, „szwarcowników paradyzowych“, że dostawszy którego w swoje objęcia, wynosił w powietrzu z paradyzowego kurytarza na dół, macając swoją zdobycz po żebrach niczem Pytlasiński.

Tego Krulla „robaka“ strasznie unikaliśmy!

Paradyz owego czasu słynął ze znawców na sztuce i grze artystów—i którykolwiek z kapłanów Melpomeny, Muzy a nawet i Terpsychory umiał pozyskać dla się względy „paradyzowiczów,“ był już szczęśliwy.

Dlatego nie dziw, że tacy artyści jak: Żółkowski, Królikowski, Komorowski, Panczykowski, Chomiński, Stolpe i Damse—panie: Bakałowiczowa (Szymanowska z domu), Ziemińska (z domu Ciemska), à la dzisiejsza Lüdowa, Wąsowiczówna, Palińska, wreszcie Paulina Rivoli, Rywacka, Dobrski, Troszel, Prochazka i Keller a w końcu siostry Straussówny, Frejtag, Tarnowscy i wiele innych, po przywoływaniach ich na scenę pierwszej klaniali się paradyzowcom i galerji, niż lożowej, amfiteatrowej i krzesłowej publiczności, na co z ironją patrzyła inteligencja i najczęściej przed samym końcem sztuki, robiąc szmer w teatrze, wynosiła się z niego.

Tymczasem paradyz i galerja tłukła oklaski do spuchnięcia rąk i dostawała młodzież chryпки od końcowych przywoływań!

Artysta, prawda, że gra za pieniądze, ale czyż one są nagrodą za jego pracę?

On się poświęca sztuce nie tak materjalnie, jak duchowo—i tylko ten oklask jedyną jest jego zapłatą, a tego nie chciała zrozumieć inteligencja—zrozumiał więc już wtedy paradyz i galerja.

Pewnego razu, pamiętam, grano w teatrze Rozmai-
tości „Kobiety z kamienia,“ w której to sztuce Bakałowicz
grała niewinną i biedną sierotę, Marję.

Po skończonej sztuce wyczekiwaliśmy w liczbie
20-tu „scyzoryków“ w bramie teatralnej na ukazanie
się idącej Bakałowiczowej z za kulis do domu.

Powracała artystka z bukietem w ręku, jaki otrzy-
mała z pierwszego rzędu krzesel od inteligencji.

My, stojąc w równym rzędzie w dwóch szpalerach,
jak do marszu przygotowani, za zjawieniem się naszej
ulubienicy zrobiliśmy ukłon czapkami.

Bakałowiczowa z wdzięcznym i anielskim uśmiesz-
kiem odwzajemniając się nam motylkowym ukłonem,
rozerwała bukiet, a ofiarując nam każdemu z osobna
po jednym kwiatku, rzekła:

— Proszę przyjąć to w dowód mojej wdzięczno-
ści; te kwiaty nie mnie, ale wam powinny być ofiaro-
wane, bo to wasze dzieło, że mi je wręczono.

Byliśmy w siódmym niebie—i krzyczeliśmy:

— Hura! niech żyje pani Bakałowicz!

A gdy artystka wsiadła do oczekującej na nią do-
rożki, zamierzaliśmy wyprządz od niej konie, żeby wła-
snymi siłami zawieźć czarującą artystkę do jej domu.

Lecz policja, spostrzegłszy tego rodzaju manifesta-
cję, zabroniła nam powziętego zamiaru, zalecając naj-
grzeczniej rozejście się do domów. Co też i uczyni-
liśmy.

W kilka dni po tej scenie postaraliśmy się o parę
koszy, napełnionych kwieciem i zaciągnęliśmy je na pa-
radyz.

Grano w ten dzień między innymi komedjami wo-

dewil „Spotkanie,“ w której to sztuce występowały dwie tylko osoby: Bakałowiczowa i Stolpe.

Za ukazaniem się Bakałowiczowej na scenie obzuciliśmy ją połową kwiatów, drugą zaś połową pod koniec sztuki.

Warto było widzieć, jak ta znakomita artystka przyciskała nasze skromne kwiatki do swych korалowych usteczek i serca, i jak wdzięczne przesyłała nam, mizernym „scyzorykom paradyzowym“ ukłony -- kiedy przeciwnie, za podany jej przed kilku dniami bukiet dosyć kosztowny zaledwie raczyła się z niechcienia uklonić krzesłowiczom.

Takie to były nasze czasy „jaskółkowe“, taki był zapał młodzieży do sztuki i uczciwej pracy artystów!

Ale zapędziwszy się we wspomnieniach, daruj sz. czytelniku, że na chwilę oderwałem go od „Halki“.

Niestety! trafiliśmy już tylko na rozpoczęcie drugiego aktu.

Wprawdzie siedzieliśmy na głowach jedni drugim, bo całe audytorjum teatralne nabite było publicznością, a na paradyzie tłok i gorąco jak nieprzymierzając w piekle!

W orkiestrze spostrzegamy niewielkiego wzrostu, skromnego i zawsze potulnego, z pogodnem wejrzeniem, z pałeczką w rękę, człowieczka, nadzwyczaj miłej powierzchowności -- Stanisława Moniuszko, który, gdy usłyszał cudnie wykonany śpiew „Szumią jodły“ przez Jontka (Dobrski), oparł się głową o pulpit i płakał jak dzieciuch, a mazgajowata publiczność, zwłaszcza piękna połowa rodu ludzkiego, w bek za nim...

Rivoli zaś, ta wielka i urocza „Halka,“ gdy wypowiedziała bez śpiewu: „Dzieciątko z głodu umiera, bo

matka tu, a ojciec tam!"... to trzeba było być bez duszy, żeby znowu się nie rozbeczyć.

Tak genialnie powiedziane słowa, przejmujące szpik i kości słuchacza, to tylko mógł wygłosić nasz wielki artysta, ś. p. Jan Królikowski!

Ale Rivoli i Dobrski, to mało powiedzieć znakomici artyści opery—ale i wielcy artyści dramatu.

Albo i taki Troszel (Stolnik), jakąż to majestatyczna była postawa tego artysty!

Co za głos, a jaka inteligencja!

Wyborni byli: Janusz, Zofja, a nawet i ten staruszek (Jędrzejewski) z kolorową jedwabną chustką—słowem całość obsady ról w „Halce“ będzie mieć po 1858 roku długą, bardzo długą po sobie tradycję.

Była to wtedy istna uroczystość na pierwszym przedstawieniu „Halki“ w Warszawie dla publiczności—prawdziwa, nadspodziewana uczta—pościg za czemś bardzo zgłodniałem i spragnionem po „włoszczyźnie“, którą karmiła nas nieustannie ówczesna dyrekcja Teatrów Warszawskich.

Dlatego też przywoływaniom i oklaskom na pierwszej „Halce“ nie było końca.

Światła zgaszono w teatrze, a jeszcze publiczność nie chciała wyjść z niego.

Nasz kochany mistrz Moniuszko aż się biedaczysko zasapał od ciągłych ukłonów i wychodzenia na scenę.

A my wyszliśmy nareszcie z teatru, jak z jakiej łaźni, z opuchłemi rękami od oklasków i ochryplemi głosami od wywoływań świetnych wtedy przedstawicieli opery Moniuszkowskiej.

Nas, czterech klasztorników, według umówienia się poprzedniego znalazło się na rogu ulicy Senatorskiej, obok sklepu bławatnego Włodkowskiego (gdzie obecnie zastępuje tegoż godnie p. Edmund Makowski).

Należało zatem powracać nam do zimnych murów klasztornych. Po drodze, idąc spieszonym krokiem, zawijaliśmy z najwyższym apetytem serdelki i bułki, w mniemaniu, że się posilamy najlepszymi pieczeniami u Wróbla (choć go jeszcze wtedy nie było na ulicy Mazowieckiej) — ale przypuszczalnie, a bułki wydały nam się najsmaczniejszymi ciastkami np. od Starorypińskiego. Popiliśmy one *solidy* wodą ze studzien ulicznych, jakby najdoskonalszem winem Seydla, Fukiera, albo Szultza. I w tem usposobieniu duchowem i żołądkowem dotarliśmy szczęśliwie do placyku dominikańskiego, a ztąd prosto na parkan ogrodowy i znaleźliśmy się w klasztornym ogrodzie.

Aż tu nagle spostrzegamy: coś się bieli przed nami, niby duchy, wyszłe jakby z pod ziemi, niby posągi jakieś. Ale nie byli to ani jedni, ani drudzy, a tylko starsi księża dominikanie, chwytający nas jak kontrabandzistów na gorącym uczynku.

Stanęliśmy jak przykuci do ziemi.

— Aha, jesteście ptaszki! — jeden z ojców zawołał tubalnym swoim głosem. Pięknie, ładnie wykradać się z klasztoru, aby po nocy biedz tam gdzieś, na jakąś hecę! Dalej! ruszajcie na nowicjat — już my się tam z wami rozprawimy!

Wyraźnie ktoś nas podsłuchiwał i doniósł o wszystkim władzy klasztornej.

Ale nie Sowa, nie! Tenby za nic w świecie nie mógł być denuncjantem! Prędzej może spletał nam

tego figla który z kleryków, bo gdzie nie znajdzie lizusów!...

Gdyśmy się znaleźli na nowicjacie, w celi przez nas czterech zajmowanej, przejści trwogą, jeden drugiego zapytywał:

— Co to, co to będzie? co się z nami stanie?!

A koledzy moi, występując do mnie z wymówkami, rzekli:

— A toś nas ładnie urządził, panie bracie!

I tak oniemiałi, wyczekiwaliśmy na nasz wyrok.

Wtem słyszymy, że się coś człapie po kurytarzu i posuwa się ku naszej celi. Drzwi się otwierają i spostrzegamy wchodzącego do nas w szlafroku i pantoflach na nogach staruszka, księdza z ośmdziesięcioletnią wiosną życia, a 56 lat kapłaństwa w zgromadzeniu O.O. Dominikanów, mojego kuzyna z dalekiego jakiegoś pokrewieństwa z moją matką, która zaleciła mi, abym go nazywał „wujaszkiem“, mieniając go i sama tym tytułem.

Za protekcją tegoż wuja zostałem przyjęty na nowicjat, pomimo nie ukończonych lat 18-tu, jakie w pełnej cyfrze były wymagalne przez reguły klasztorne.

Staruszek ten był uosobioną poczciwością i kochanym i wielce poważanym od wszystkich, piastując przez wiele lat w służbie bożej godności: przeora, prowincjała i profesora Ś-tej teologii.

Obecnie zaś był tylko zwyczajnym księdzem mszalnym i spowiednikiem miłosiernym i wielce pouczającym, i dlatego moc narodu cisnęła się do konfesjonału staruszka, a zwłaszcza mężatki, panny i wdowy.

Wszedłszy do naszej celi, wujaszek był silnie zaniepokojonym, zadyszanym, a przybrawszy charakter

gromiący, co mu się nigdy nie zdarzało, zawołał do nas podniosłym głosem:

— A wy smarkacze jacyś! cóżeście to zrobili? Wykradać się z nowicjatu po nocy, aby biedz tam, gdzieś, na jakieś hece szarlatańskie? No, i nie wstyd-że wam?

— Ależ wujaszku kochany—odrzekłem—to nie były żadne hece, to była „Halka“ to...

Tu staruszek z oburzeniem przerwał mi dokończenia rehabilitacji.

— Co? jaka halka? gwałtu! do halki poszli? do jakiejś tam niecnej grzesznicy! O niebaczni, splamili habity! A to jak żyję tyle lat nie powstało takie u nas hańbiące zgorszenie!... No, proszę, do halki, do halki wykradli się z klasztoru!

Obtarł pocziwina czoło z potu i przysiadł na stołku, załamując ręce rozpaczliwie.

Nareszcie po niejakej chwili milczenia zwrócił mowę do mnie nasz orator:

— Ale ty, ty Józiu, jak mogłeś do tego stopnia zapomnieć się? A toż to jutro, a nie pojutrze, bo już dawno po północy (spojrzawszy na nasz stary i okopcony zegar, wiszący na ścianie od niepamiętnych czasów) mają być twoje, chłopcze, obłóczyny! Habity: zimowy i letni, piękne, jak lilijki, nowiusieńkie i prosto z igły, przygotowano na tę uroczystość, obiad wyśmienity również, bo i z miasta przybędzie wielu znajomych gości,—tobie zaś, według życzenia rodziców twoich, zostanie nadane imię zakonne „Bonawentura“—będziesz się musiał pożegnać z „Józefem“...

— No, ale widzisz moje dziecię, źle się stało z tą przeklętą halką; obłóczyny obłóczynami, a kara karą!

tego porządek rzeczy wymaga, sami to chyba przyznajecie? No, i cóżeście tak nosy pospuszczali do ziemi? Nie trwóźcie się, nie będzie nic tak nadzwyczajnego: dostaniecie tylko, ale tak tylko po łebkach, po łebkach... po 16-cie różeczek, i na tem się skończy. Uradzili ojcowie, żeby z tą tak „łagodną“ karą jeszcze dziś nad rankiem się załatwić. Tymczasem, moi chłopcy, mówcie paciorek, rozbierzcie się i udajcie na spoczynek.

Staruszek podniósł się ze stołka z zamiarem odejścia, a odchodząc dodał:

— No, do widzenia, śpijcie z Bogiem! Już ja będę w tem, że będzie tylko po łebkach, jak was Kocham.

A będąc już we drzwiach, pomrukiwał jeszcze:

— A to skaranie boskie z tą bezbożnicą halką!

Po odejściu wujaszka, zrobiło nam się cokolwiek głupio, a spoglądając jeden na drugiego... zatrważająco, mieliśmy bowiem na myśli tę wyroczną szesnastkę „po łebkach“...

Nareszcie wybelkotałem:

— I cóż wy, panowie koledzy, na to?

— Ha! cóż robić? trzeba się poddać przeznaczeniu...

— Powiedzcie mi—zagadnąłem—kto będzie spełniał te „po łebkach“?

— A któż-by inny, jak nie ojciec Zenobi, szafarz...

— Co? ten Herkules?! z tą patelniową łapą i lwią siłą?—wrzasnąłem. O, nie ma głupich, niedoczekanie jego! nie powącha mojej skóry!...

— Jakto? zapytali zadziwieni stanowczością tych słów.

— Uciekam, uciekam z nowicjatu, i już mnie tu

więcej nie zobaczyciel — odrzekłem z całą pewnością nieodmiennego postanowienia.

I schwyciwszy za czapkę, począłem obcałowywać moich towarzyszków na znak pożegnania się z nimi.

Zaczęli mi przekładać, reflektować, abym tego nie czynił—ale słuchać nie chciałem i powiedziałem: „żegnaj was, bywajcie zdrowi“, sunąłem we drzwi i cicho, na palcach, ostrożnie przebiegłszy schody i kurytarze, znalazłem się z powrotem w ogrodzie, gdzie na nas byli zaczajeni sędziowie szesnastki „po łebkach!“

Tu, *de noviter* przesadziwszy parkan, niebawem lotem ptaka znalazłem się, przebiegając Mostową, na Fretówce... a oparłszy się o mur kościoła po Paulińskiego, zwróciłem wzrok w stronę świątyni dominikańskiej, — przypominając sobie jednocześnie sygnaturkę i kaplicę Ś-go Jacka z nieboszczykami...

Byłem, co prawda, w tej chwili swobodny, podobny do ptaka, wypuszczonego na wolność, i chociaż przeczuwałem, że będzie pewnie w robocie dębeczak ojcowski, to jednakże wołałem to przeniesć nad szesnaście „po łebkach“ i zastraszać sygnaturkę.

Rodzice moi mieszkali na ulicy Długiej, za placem Krasińskich po prawej stronie od Wisły, w domu naprzeciw hotelu Niemieckiego.

Przybiegam do bramy, dzwonię, stróż ją otwiera, pakuję mu dyskę w garść, co go mocno zdziwiło, bo zwykle, gdy wracałem późno z teatru, dawałem mu najwyżej cztery grosze, a nieraz i zadłużyłem się.

— Aha, to pan? o, już dawno nie otwierałem *memu* panu bramy—wybąknął rozespany stary Michał, od którego z daleka czuć było „kartoflanek“, co mu nos zamieniła w ćwikłowy burak.

Biegnę na pierwsze piętro, dzwonię do naszego mieszkania—cicho, dzwonię nieco mocniej, i jeszcze cicho,—nareszcie szarpnąłem gwałtownie za drut, i po chwili usłyszałem głos naszej służącej:

— Kto tam?

— Marysiu, otwórz, to ja!

Otwierając drzwi, Marysia spostrzegłszy mnie, zadowolona moją nocną wizytą, wrzasnęła:

— Chryste Panie! a panicz co tu robi o tej godzinie?

— Cicho, cicho bądź Marysiu! nie pytaj nic, ale idź i obudź lekko moją matkę, oznajmiając jej o mojem przybyciu.

Dziewczyna poszła, a ja krok w krok za nią, cichuteńko, ostrożnie i na palcach, aby nie zawadzić o jaki przedmiot meblowy, coby spowodowało stuknięcie, które-by mogło obudzić ojca. Przedewszystkiem nim to nastąpić miało, pragnąłem sobie skaptować matkę, tę najdroższą istotę mego serca.

— Co? co mówisz, Marysiu? Józio przyszedł?

— Tak, proszę pani.

— Boże święty! cóż to się stało? a gdzież on?

Wtedy przybiegłem do łóżka—i wyszeptalem cichym głosem:

— Tu jestem, najdroższa moja mateczko!—całując ją przytem po rękach.

— Odejdź! Marysiu—rzekła matka, poczem, zwróciwszy się do mnie, zapytała szeptem: Na Boga! powiedz synu, co się stało? czy się klasztor pali? Siadaj tu przy mnie i wszystko opowiedz mi, Józieczku...

Wtedy to „Józiczek“ w najjaskrawszych kolorach i z pewną butnością i naciskiem „po łebkach,” opisał rzecz całą.

Na co urażona moja matka do żywego, zapłakała się, a tuląc synusia do piersi, z łkaniem rzekła:

— Co? chcą cię katować? pastwić się nad tobą? o! niedoczekanie wasze, mnichy! — i obróciwszy spojrzenie swoje w stronę *vis-a-vis*, gdzie na drugim łóżku spoczywał mój ojciec—zawołała:

— Mężu! Ojciec! Józiczku! (i ojcu było na imię Józef) czy śpisz? Patrz, Józio przyszedł!

— Wiem o tem. Nie spałem i słyszałem wszystko dobrze, co ci, Róziu, chłopiec opowiedział.

A usiadłszy na swoim łóżku, mówił ojciec dalej:

— Chodź tu do mnie chłopak, niech cię uściskam!

Uściskam? co to znaczy? pomyślałem, i postępując chwiejnym krokiem do łóżka ojcowskiego, oglądałem się po kątach pokoju, jak daleko stoi dębczak, a nie spostrzegłszy go nigdzie, doszedłem do ojca, jak delikwent skazany na śmierć i... buch na kolana!

— Ojczy drogi, daruj mi!—wykrzyknąłem te słowa z udanym nieco płaczem.

— Powstań, chłopcze! Dobrześ się spisał! I ja zrobiłbym nie inaczej na twojem miejscu. Do stu diabłów! zbrodni przecież nie popełniłeś, a żeś poszedł na „Halkę” to i cóż tak nadzwyczajnego? I za to zaraz bić, katować? A zkąd oni, ci klesi, mają prawo, żeby krzywdzić szlachcica? Widzisz ich, jacy mi skorzy! A cóż to do kroćset diabłów, czy nie wiedzą to, z kim mają do czynienia? Jesteś, chłopaku, z dziada pradziada herbu „Prawdziec,” a Prawdzieców nie bito, lecz oni tego bili... Powiedz, Róziu, ażaliż nie było tak?

— Ależ najświętsza prawda, drogi mój mężu! i z temi słowy pocziwa mateczka moja zerwawszy się z łóżka, tak w bieli... pobiegła do ojca, a rzucając

mu się na szyję, zaczęła go serdecznie całować, i dopiero po pewnej chwili utulenia swojej radości zażenowana, przywdziała na się strój cięższy nieco.

Ojciec, zawsze w tonie wojskowym i dalej głosu dobywać zaczął:

— Do stu diabłów! — toć przecież i w wojskowej służbie mają pewien respekt dla szlacheica. Toć przecie w naszym pułku, który sobie upodobał W. Książę Konstanty, jak o tem całemu światu wiadomo, i nazywał go „swojami dziećmi,“ jeżeli z nas który co zbroił, nie katowano, nie! ale posadzono na odwachu o chlebie i wodzie, lub też za ważniejszą jaką sprawkę wyrzucano całkiem z pułku. Chłopi tam czasami dostawali baty, ale my, szlachta, oficerowie, najwyżej tylko odsiadywaliśmy odwach! A tu, panie, do stu diabłów tacy tam klesi, którzy najczęściej są miernego stanu, chcieliby się poić krwią szlacheica! A zasię! A wara! i dlatego chłopaku nie powrócisz już do nich, zostaniesz w domu, będziesz się sposobić do czego innego, tylko ten teatr wybij sobie z głowy, a jeżeli pójdziesz kiedy, to pójdziesz z nami, a nawet jutro jeszcze, lub pojutrze na „Halkę,“ tak, na „Halkę“ przede wszystkim, bo i my, nieprawdaż matka, ciekawi jesteśmy ujrzeć to polskie arcydzieło.

— Dobrze, dobrze, Józieczku mój, dziękuję ci, dziękuję — i znowu pocziwe matczyńsko całowało poczerwienione policzki ojca mego.

— No, a teraz... Marysia! Marysia! — zawołał ojciec — Marysia! czyś przygotowała łóżko dla p. Józefa w jego pokoiku?

— Wszystko gotowe, proszę pana. A możeby pan

Józef co zjadł, proszę pani? troszcząc się Marysia o mój żołądek, zapytała matkę.

— Ah, prawda, synu, możesz ty głodny?—powiedz, powiedz szczerze?

— Mameczko kochana, nie jestem wcale głodny i za wszelkie jadlo dziękuję.

Jakże miałem mieć apetyt, kiedy sześć serdelków i pięć bułek spoczęło we mnie przy powrocie z teatru.

— No, to idź spać chłopaku—ucałuj mnie, ucałuj matkę na dobranoc, i bywaj zdrów!

A przy pożegnaniu się naszym ojciec wtrącił:

— Wiesz co, Róziu, mnie się zdaje, że Józkowi najlepiej przypadnie do gustu zawód wojskowy, nieprawdaż? No, idź chłopcze spać, idź, pomówimy o tem z matką.

Wyszedłem. Znalazłem się nareszcie w swoim pokoiku. Z radości pochwyliłem Marysię w pól i obróciłem z nią parę razy walczyka.

Ta, wrywając się z moich objęć, poczęła czynić mi wymówki, że to nieładnie dla przyszłego księdza.

— Co? księdza? jakiego księdza? ależ już nim nie będę!

Marysia wtedy zrobiła nadzwyczajnie zdziwioną minę i zapytała:

— A przecież to jutro pańskie oblóczyny...

— Co, oblóczyny? oblóczyny już *fiut!*

A Marysia na to:

— Ej, ej, musiał pan tam coś przeskrobać i dlatego pana z klasztoru wyrzucili!...

— Głupia jesteś, Marysiu!—odpowiedziałem, czując się być nieco obrażonym jej poufałością... Ja sam rzuciłem klasztor, który zabrania chodzić na „Halki“.

Marysia powiedziawszy mi dobranoc, już była przy drzwiach, ale jej się przypomniało naraz o moich butach, jakie zwykle zabierała do czyszczenia na rano.

— A buty?

-- Masz je Marysiu, masz.

A otrzymawszy takowe z rąk moich, Marysia stała się milczącą na chwilę.

— Czy jeszcze czego chcesz Marysiu?—zapytałem.

A ta, uśmiechając się filuternie, zagadnęła mnie:

— Czy pan pozwoli powiedzieć sobie słóweczko prawdy?

— Owszem, gadaj, gadaj, słucham.

— Oto to, że pan tak zdatny na księdza, jak ja na zakonnicę, bo panu tylko „halki“ jakieś w głowie! i śmiejąc się, dziewczyna odeszła.

No, proszę, i ta dla „Halki“ miała pewne zniechęcenie, nie pojmując jej istotnego znaczenia.

Udawszy się na spoczynek, nie mogłem jakoś długo zasnąć, mając nabita głowę myślami o Moniuszkowej „Halce,” o nowicjacie, o szesnastce „po łebkach“ i t. d. i t. d. Wreszcie poddałem się Morfeuszowi.

Z samego rana tegoż dnia przybyło do nas dwóch kleryków, oznajmiających z polecenia przeora O.O. Dominikanów o opuszczeniu mojem nowicjatu samowolnie i żądających natychmiastowego powrotu do niego, dla uskutecznienia moich obłóczyn, przypadających za kilka godzin, a w końcu z objawieniem drogi łaski, że mi kara została podarowaną, raz ze względu cywilnego jeszcze ubrania, a nadto uroczystości moich obłóczyn. A tylko moi towarzysze „halkowi“ musieli się wyrokowi poddać...

Biedacy! mam ich do dziś na sumieniu, bo to prze-

cież ja byłem sprężyną odpowiedzialności, jaką zmuszeni byli przecierpieć „po łebkach“ przez tę nieszczęsną „Halkę“.

Klerykom, przybyłym od przeora do nas, ojciec mój dał taką odpowiedź:

— Proszę oznajmić księdzu przeorowi, że mój syn pozostanie w domu i nie powróci już na nowicjat, a złożone przezemnie na habity rs. 30 niech pozostaną własnością zakonu dominikańskiego. Niechaj tylko będą odesłane mojemu synowi pościel i pozostałe na nowicjacie inne jeszcze ruchomości, będące syna mego wyłączną własnością. Proszę również zawiadomić księdza przeora, aby mi nadesłał rachunek z przygotowanego obiadu na niedoszłą uroczystość obłóczyn mego syna, a uiszczę się co do grosza, żeby konwentu nie wystawiać na straty materialne. Co zaś do kary cielesnej, wyznaczonej mojemu synowi, to niech ją sobie pan przeor zachowa, jeżeli tak mocen, parobasom, ale nie synowi szlachcica, nie potomkowi krwi odwiecznej lachów! Żegnam was, moi panowie! Bywajcie zdrowi!

Klerycy odeszli w pokorze i milczeniu, skłoniwszy się mojemu ojcu i matce, będącej obecną oracji ojca.

W niespełną godzinę przywłókł się i nasz wujaszek starowina, ksiądz dominikanin, który to przestrzegł nas na nowicjacie o „po łebkach“.

Nieborak zadyszany, oblany potem, zaambarasowany i zziajany, powitawszy moich rodziców słowem bożem: „Niech będzie pochwalony,“ tak zaczął prawie bez wytchnienia:

— Ludzie! na miłosierdzie boże! co wy wyrabiacie? Co wam przyszło do głowy? JAKO? Chcecie w domu

zamarynować chłopaka i zrobić z niego nicponia i próżniaka? Nie pozwalacie mu powracać na nowicjat, kiedy wkrótce odbyć się mają jego obłóczyny? A toż wszystko przygotowane: habity, obiad wystawny, zaproszono gości z miasta, a co zaś do kary, umorzona została Józiovi. No, dalej, niechaj się chłopiec wybiera do powrotu, tylko czempredzej! Pójdę z nim razem. A i ty, kochany kuzynie--odwracając się do mego ojca—nie pogardzisz naszym obiadem, na który cię przeor zaprasza. Powiadam kuzynowi, znakomite będą potrawy: czernina, pieczeń huzarska z kaszą gryczaną, gęsina i flaki, flaki z kiszeczką i pulpecikami, wszystko to, co ty lubisz, mój kochany kuzynie. Dla kleryków piwo, a dla nas, księży, i dla gości *vinum purum*, o które już ja z mojej chudej szkatuły postarać się musiałem. No, dalej, dalej, wybierajmy się i idźmy wszyscy trzej razem.

Wtedy to mój ojciec, ucałowawszy w rozpromienione policzki czcigodnego starowinę i podziękowawszy mu za wszystko staropolskiem: „Bóg zapłać“—stanowczo oświadczył, że nic nie będzie z moich obłóczyn i że mnie wy kieruje na wojaka.

Usłyszawszy to pocziwy wujaszek zaniepokojony i strąpiony odmową i stanowczością mojego ojca, zaczął biegać po pokoju a giestykulując rękami bez przerwy—zawołał z oburzeniem:

— Otóż go macie! Zgubę, zgubę chłopakowi gotują! No, proszę, na wojaka, na wojaka chcą go sposobić! A cóż—to, nie wiecie, że on i bez tego już poznamiony z jakimiś tam—panie odpuść—bezecnymi halakami? A namówiwszy trzech kleryków, którzy dziś łomotanie dostali, w czterech, wykradłszy się po no-

cy z nowicjatu, poszli do tej niesfornej dziewczyny?! Dobrze, tak, tak, dawajcie, dawajcie otuchę gagatko-
wi, wykierujecie go pięknie, pięknie, nie ma co mówić! Dziś poznał Halkę, jutro zapozna Marysię, Kasię, i wresz-
cie cały rój bogdanek rozpustnych! Oj! kiedyś moi ko-
chani ciężko tego żałować będziecie. W takim razie
nie mam tu co robić, bywajcie zdrowi!

I biorąc za kapelusz, miał się staruszek ku wyj-
ściu mocno obrażony i zirytowany. Ale ojciec mój,
zastąpiwszy mu odedrzwi, zaczął zwolna pocziwca
reflektować, ułagadzać, jak rozdąsanego dzieciaka,
a sadzając go na fotelu, zaprosił na obiad na dziś, w
naszym domu, wyszczególniając mu spis potraw, z ja-
kich obiad składać się będzie.

Staruszek zwolna zaczynał mięknąć, uśmiechać
się nawet, i wreszcie robić niedowierzające pytania:

— Jakto, i prosiak pieczony na serjo będzie?
i pierogi z mięsa? i zrazy polskie?—a to panie „ksią-
żęcy obiadek!” To tedy wiecie co? Nie pójdę na ich
tam dzisiaj wystawowy—a przyjmuję wasz szlachecki
obiadek. Owszem, przyjmuję — i przyjdę, przyjdę na
niego, jak was szczerze Kocham!

Rodzice, dziękując starowinie za ten zaszczyt,
wspomnieli coś i o staropolskim „lipczaku“ jeszcze
z roku 1700-go, jaki będzie dodawał apetytu przy obie-
dzie.

Natenczas staruszek, usłyszawszy o tradycyjnym
naszym miódki, aż uronił kilka kropli łez, jakie po-
płynęły po jego anielskiem obliczu.

A odchodząc już teraz na dobre, powiedział:

— Czy wiecie co, moi kochani? Rzeczywiście ja
teraz sam przyznaję, że Józio wasz nie zdałby się do

klasztoru, i podobno lepiej dla niego, gdy zostanie woj-
skowym, bo widzę, że posiada też samą butę i krew-
kość co i jego ojciec! Do widzenia, do widzenia!

I odszedł.

Na obiad stawił się punktualnie, a popijając „lipczakiem“ dowiedział się kategorycznie o znaczeniu wycieczki mojej z kolegami na operę Moniuszkowską „Halkę“ zwaną.

Biedaczysko tak żałował swojej pomyłki, posądzenia nas o innego rodzaju halkę, iż przyrzekł starowina, że i on wraz z nami pójdzie na oną „Halkę,“ dobrze wprzódki podkasawszy swój biały habit pod górę.

No, i rzeczywiście w parę dni potem wujaszek był z nami w loży na „Halce“ i tak bolał nad jej losem, że aż płakał jak dziecko.

Notabene trzeba wiedzieć, że był on po raz pierwszy w teatrze i po raz pierwszy wychodząc z niego powrócił nie do klasztoru, ale zaraz z nami do naszego domu na gościnny nocleg.

Rozgadawszy się wiele o przedstawieniu „Halki“ która mu się niezmiernie podobała, między innymi rzekł:

— A to panie dobrodzieju, tego, jak się nazywa, jak zauważyłem, ci aktorzy, to nie są żadni szarlatani z końca świata, żadni hecarze, ale jak się przekonałem, bardzo porządni ludzie: rozumni, sympatyczni, i ba! o wiele lepiej śpiewają niż u nas księża i klerycy na chórach. Jedno mam tylko za złe i nie do przebaczenia, to temu pięknemu młodemu paniczowi... dlaczego taką krzywdę wyrządził biednemu dziewczęciu? Bo jeżeli już do tego doszło... to, panie odpuść, powinien się z nią być ożenić, a nie dopuścić do ostatecznego jej upadku,

a nawet i śmierci! Inaczej, inaczej powinno się było zakończyć, a nie tak boleśnie i z hańbą dla szlachcica! A przecież był... polakiem, jak widać to było po jego pięknym ubraniu. A teraz powiedzcie mi, moi drodzy, któż to był, co tak zamasyżycie dyrygował orkiestrą? Czy to nie przebrany w cywilny ubiór nasz duchowny?... lub może pastor? Twarz wygolona, okrągłuchna, miła, i podobny kubek w kubek na księdza; nawet zdaje mi się jakby miał na głowie wygoloną tonsurę.

A mój ojciec na to:

— To był Moniuszko, który napisał tę cudną muzykę do libreta „Halki“. Człowiek w całym znaczeniu tego wyrazu zacy i mistrzowskich zdolności!

— T-a-a-a-k?—zadziwił się nasz staruszek, dając tem znak najwyższego uznania.

A w końcu dodał, że radby poznać tego szlachetnego Moniuszkę, aby mu poradzić, żeby na drugim przedstawieniu „Halki“ koniecznie wynagrodził rządząną krzywdę dziewczynie i ożenił z nią szlachcica.

— Pan Bóg wtedy przebaczyłby mu błąd młodości i darzył swoim błogosławieństwem! zakończył.

Po takim kazanku starca, wypowiedzianem przy herbacie, kochana matka moja, rozczulona słowami czcigodnego kapłana, wyjąwszy chustkę z kieszeni, poczęła lzy nią ocierać.

A ojciec, paląc fajkę na długim cybuchu i puszczając ustami dym kółkami na pokój, częstem potakiwaniem głowy przyznawał słusność słowom starca. Aż nareszcie zakonkludował rozmowę o „Halce“ trąceniem się napelnioną starym węgrzynem lampką o lampki staruszka i matki mojej.

— Eh! co tam! Ot, lepiej nasze: „kochajmy się!“

A potem udaliśmy się wszyscy na spoczynek.

Co zaś do mnie, dzień po dniu schodził mi na próżniactwie i na wymykaniu się do teatru, o czem ojciec nic nie wiedział, gdyż sądził, że chodzę na lekcje tańca, co uważał za bardzo potrzebną rzecz dla mężczyzny, sam bowiem za młodu był pono mistrzem w tańcu. A tylko poczciwa matka moja kłamstwo moje zmuszoną była przez gorącą miłość do synusia tolerować, dając temuż skrycie przed ojcem fundusz na bilety paradyzowe w obawie, aby się to kiedy nie wykryło i nie ściągnęło straszego gniewu ojca.

Mówiła mi ona często:

— Józiu, synu mój! dałbyś sobie już pokój z tym teatrem, bo i cóż z ciebie będzie, jak w nim zagręźniesz? Przecież wiesz, że popełniam kłamstwo przed ojcem — i gdybyś został aktorem, onby śmiercią to przyplacił. Trudno, mój synu, tych jego uprzedzeń nie przerobimy w nim. A mówił mi przed niedawnem nawet, że do dojścia twego do pełnoletności odda cię na wieś do naszych dobrych znajomych państwa Janostwa G... abyś tam pozostawał na praktyce gospodarskiej zarzucając już pierwotne postanowienie wojskowości dla ciebie.

— Ha! trudno, moja dobra mateczko! Woli ojca sprzeciwiać się nie będę—odpowiedziałem.

No, i znowu uczułem w garści mojej, całując matkę w rękę, srebrną dwuzłotówczynę na bilet paradyzowy, a pozostałe groszy 15-cie na wodę „babci paradyzowej“ lub pomarańczkę, i w ten sposób dalej znowu schodziły mi dni istnej wolności i teatromanji, w oczekiwaniu zbliżającej się wiosny, w której to porze miałem być przeniesionym na wiejskie życie.

Lecz cały projekt wkrótce przyjął zupełnie odmienny kierunek.

Ojciec mój, leżąc się od lat kilku na „kamień“, zmuszony był poddać się operacji, a nie wytrzymując takowej, zakończył życie pod nożami...

Po ciosie dla nas tak bolesnym pozostawałem jeszcze przez pewien czas przy matce, nie zachowując przed nią żadnej już tajemnicy.

Chodziłem przez kilka miesięcy na lekcje dramaturgji do Jasińskiego, profesora szkoły dramatycznej, płacząc za godziny nauki dość słono.

Nareszcie pewnego pięknego poranku zjawia się do naszego mieszkania jakiś dyrektor trupy prowincjonalnej, dobrze znajomy mojemu nauczycielowi, p. Jasińskiemu, od którego przedstawiając nam bilet, oznajmił, że jest życzeniem pana Jasińskiego, abym dla nabrania rutyny scenicznej zaangażowany został do trupy tegoż dyrektora.

W to mi graj!

Rozstać się musiałem z ukochaną moją matką, która długo jeszcze nie była w stanie ukoić lez swoich po stracie swego „najulubieńskiego gagatka“ z jej domu.

No, i tym sposobem rozpocząłem karierę artystyczną, o której chcąc wszystko szczegółowo opisać, musiałbym stworzyć na to oddzielny tom, bardzo obszerny nawet, moich „pamiętników“.

W parę lat po mojem zaciągnięciu się pod sztandar „Melpomeny“ otrzymałem w Lublinie, będąc wówczas w trupie Anastazego Trapszy, telegram o zgonie mojej najdroższej matki!

Spoczęła ta zacna matrona polska snem wiecznym i pochowaną została w jednej mogile na cmentarzu Powązkowskim obok zwłok swego najukochańszego męża, a mojego czcigodnego ojca!

Pozostałem wtedy sam na świecie, bo chociaż miałem trochę rodzeństwa, to jednak nikt nie jest w stanie zastąpić nam naszych najdroższych sercu rodziców, w teatrze zaś uczciwej szczerości, gorącej przyjaźni i koleżeństwa nie znajdzie, nie! A tylko fałsz, podstęp i obłudę!...

O! ciężko na świecie takiemu, który tych zalet nie posiada, a chce iść drogą prostą, uczciwą do zamierzonego celu! Potknie się, potknie niechybnie!...

Dlatego nic dziwnego, że sobie często robił wyrzuty, iż lepiej było wytrzymać „po łebkach“ i głosić słowo Boże, niż wpaść w tę otchłań, tak dla wielu młodzieży zgubną!... Tu najczęściej nie zasłużony, lecz szczęśliwy i przebiegły wygrywa.

Lepiej pono wyszli odemnie moi towarzysze „hal-kowi“, godząc się na „po łebkach“.

We włóczędztwie mojej z trupami dramatycznymi miałem sposobność dowiedzieć się o ich losach, bo oto zatrzymawszy się wraz z całym taborem w pewnej wiosce na popas, niebawem dowiedziałem się o nazwisku miejscowego proboszcza. Coś mnie tknęło, iż jest to jeden z moich wycieczkowych kolegów na „Halkę“.

Udałem się tedy spacerem na plebanję, a zapytując o proboszcza, wszedłem do jego mieszkania.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus—pozdrowilem gospodarza.

— Na wieki... — odpowiedziano, poczem: Proszę, proszę siadać, uprzejmie przysuwając mi krzesło do stołu, rzekł proboszcz. Z kimże mam przyjemność? zapytuje zaciekawiony, wpatrując się w twarz moją.

Wstaję i odpowiadam, że poznaję w nim odrazu kolegę dominikanina i jestem jednym z jego towarzyszy „halkowych“ i dezserterem od „po łebkach...“

Księżysko oburącz chwycił mnie za ramiona, a spojrzawszy w oczy—wykrzyknął:

— „Halka“? „Po łebkach“? Ha, toś ty bracie Józef C...?! Poznałem cię, poznałem! I pochwyciwszy mnie w swoje objęcia, przyciskał do piersi, że mi aż w krzyżach coś zachrobotało... i radował się jak dziecko.

Krótko mówiąc była to dla mnie chwila może najszczęśliwsza w życiu!... Jakiego tu doznałem przyjęcia, jakiej serdecznej gościnności, wrażeń ze wspomnień nowicjatowych i t. p., nie da się opisać. Proboszcz opowiedział mi o swojej karierze duchownej, jak z kascacją klasztorów w Warszawie przeszedł na świeckiego księdza, z jakim mozołem i trudem wdrapał się na probostwo, dał mi bliższe wiadomości o dwóch jeszcze naszych „halkowych“ towarzyszach, że jeden bez wieści gdzieś się zawieruszył, a drugi zostawszy kanonikiem honorowym, mieszka w mieście i jest dziekanem, pozostając w najlepszym zdrowiu, zalecając mi, abym go koniecznie kiedy odwiedził.

Ja znowu, z kolei szczerzy, opowiedziałem proboszczowi o swoim losie, że tabor nasz popasa przed karczmą, i że mocno żałować zaczynam, iż należę do niego, że wreszcie trzeba będzie w nim wytrwać, bo cóż innego przedsięwziąć, gdy głowa zaczyna siwizną porastać?

Popłakaliśmy się nad sobą, wysmolili parę butelczyn dobrego węgryzna, zjedli co było najlepszego w spiżarce, nie przepomnieliśmy i o biednym „Sowie,” jak wypijał surowe jajka, ani o O. Zenobim i jego sile herculesowej, używanej niekiedy do „po łebkach,” i tak zeszło nam do wieczora.

Tymczasem tabor mój po daremnych poszukiwaniach po całej wsi mnie, — swego niby „Aprasza” — odjechał.

I dopiero poczciwy proboszczyna kazał odwieźć mnie swemi końmi do miasteczka, gdzieśmy mieli rozłożyć na pewien czas nasze cygańsko-teatralne obozowisko.

We dwa lata później, zbiegiem szczególnego trafu, kiedym w Busku dawał mój „Wieczór humorystyczno-dramatyczny,” nadarzyła mi się sposobność natrafić szczęśliwie na drugiego mojego eks-kolegę z nowicjatu dominikańskiego, o którym od pierwszego dowiedziałem się, że był kanonikiem honorowym i dziekanem.

Ten dostojnik, wyczytawszy na afiszu moje nazwisko, przypomniał sobie, że C. musi być nie kto inny, jak ów uciekinier z nowicjatu przed zagrożoną karą „po łebkach”.

Wspaniała postać owego kanonika honorowego spotyka mnie w kursalu i zaczepia.

— Panie! przepraszam, ale przyznasz, że przysłowie: „Natura ciągnie wilka do lasu” nie zawodzi nigdy?

Zdziwiony zapytaniem tego rodzaju — odpowiedziałem:

— Ja również przepraszam księdza dobrodzieja, ale nie rozumiem, do czego się ma to stosować?

— Do pana, panie C., i źle, że mnie sobie nie możesz przypomnieć. A pamiętasz pan „Halkę,” pierwszy raz wystawioną na scenie warszawskiej?

Słyszając to, wyłupiłem ślepie na księdza—przypatruję się mu lepiej, ten składa usta do uśmiechu i narazcie w obec gromady publiczności zebranej na sali, porywa mnie za bary, przyciska do siebie (nie wstydził się aktora, nie!) poczyną całować, i w szlachetnem uniesieniu wymieniając swoje nazwisko — przyrzeka mi być głównym protektorem mojego „wieczoru“ i nieodstępnym towarzyszem moim przez czas pobytu w Busku.

Rzeczywiście, przy pomocy tego zacnego człowieka miałem nabity teatr inteligentną publicznością.

A księża wszyscy, jacy byli na kuracji, a nawet i z Solca i z bliższych parafij okolic Buska zajęli kilka rzędów krzeseł na moim „wieczorku”.

Dla nich to przeważnie musiałem dać drugi jeszcze „wieczór“ z nowym repertuarem, i znowu wszystkie bilety rozprzedane były.

Tak się zaaklimatyzowało między duchowieństwem, bawiącym wówczas w Busku, to „po łebkach,” że gdy mnie który z księży spotkał, nie inaczej witał, jak tylko:

— A, jak się mamy, panie „po łebkach?”

Niekiedy i cywilni witali mnie w ten sposób, bo figlarz i zawsze pełen humoru kanonik, kogo nie napotkał, opowiadał o nowicjatowej „Halce.”

Pocziwi są nasi księżyska! O! czemuż nie mogłem do śmierci zostać ich kolegą! Nie potrzebowalbym tak ciężko jak po grudzie pchać taczki swego żywota bolesno-artystycznego!...

Jednym i szydła gołą, a drugim brzytwy odma-
wiają nawet posłuszeństwa!

— Oh, tak, to prawda!

W obecnym czasie, kiedy piszę moją „Wiązankę“,
tak się namnożyło aktorów, że choćbyś na żart rzucił
łupiną od włoskiego orzecha, z okna wychodzącego na
ulicę, z pewnością trafisz w „artystę..“ a jeżeli nie w fa-
chowca, to w amatora z pewnością!

A wszakci już i chłopci są aktorami amatorami!
zamiast, co powinni w ziemi pracować i być nieprze-
rwanie pożytecznymi dla kraju!

Obecnie niech kogo wyrzucają z biura, z kantoru,
z handlu, z fabryki, lub od majstra uczciwego rzemio-
sła, za jakieś przekroczenie w swoich obowiązkach,
wali prosto do teatru! i czy wart co, lub jest zerem, już
nosi tytuł aktora.

A panowie enteprenerzy gardlują, że posiadają
trupy, złożone z 50-ciu lub 40-tu „artystów dramatycz-
nych“. Kiedy tymczasem w tych cyfrach znajdzie się
osób cztery, pięć, mających względne prawo do tytułu
„aktorów“.

Jeszcze gorzej się dzieje z „artystkami“.

Niech będzie buzia niczego, figurka ujdzie, i posia-
da dziewczyna ubranie modne, a włosy ufarbowane na
kolor blond, i niech „zeza“ wywraca na wszystkie stro-
ny, a czy to szwaczka, sodówka, lub bufetowa, a bodaj
panna służąca, już zostaje przyjęta do wędrownej tru-
py i niech zaledwie odrobinę posiada „cytaty“, bo naj-
częściej „pisaty“ wcale, nosi już miano „aktorki“!

A jakże!

Znałem nawet i takie (i to niezbyt dawno), co zu-

pełnie czytać nie umiały—posługując się dobrze zapłaconym suflerem, który uczył ich ról z pamięci.

Są wprawdzie i tu wyjątki do przynależnych tytułów „aktorek,” ale bardzo, bardzo nieliczne.

Widząc ten upadek scen prowincjonalnych, pewni panowie literaci i zasłużeni komedjopisarze przystąpili z całym poświęceniem dla dobra sztuki i oczyszczenia sceny z nagromadzonego kału do dzieła, przyjmując na swe barki tytuły dyrektorów.

I jaki z tego rezultat?

Oto, nie mogąc podolać dłużej nad rok lub jeszcze mniej, tej tak zwanej „kapłańskiej Melpomenie,”... stracili gotówkę, zdrowie, a niektórzy snem wiekui-
stym spoczęli, przechodząc ciężką przeprawę z żywio-
łem *naleciałości, gromadzonej z końca świata!*...

Woleli przeto ci panowie powrócić do pióra, które daje im zadowolenie duchowe, pewniejsze materialne środki, sławę i może stać się rzeczywistym pożytkiem społeczeństwu naszemu, pozostawiając opróżnione po sobie katedry dyrektorskie dla osób strawniejszego żołądka i nie poświęconych wyłącznie sztuce, ale... rublowi!

A jednak dawniej tego nie bywało, o nie!

Byli dyrektorowie rzeczywistymi dyrektorami, bo była karność, był porządek, a nie było zdemoralizowania...

Aktorzy [nie przesiadywali, jak dziś, w cukierni Bliklego, w oknach wystawowych, w „cylinderkach”... nieprzymierzając jak jaka menażerja, po całych dniach szczerząc zęby do przechodniów—i z całą bufonadą w przekonaniu, iż są *wielcy*, ich traktując.

Horrendum! istne horrendum!

Dawniejsi aktorzy, dostawszy rolę, biegli za miasto, aby w cichem natury ustroniu, zdala od wrzasku ulicznego, wertować ją uczciwie, nie spuszczać się na suflera, lub siedzieli w domu, i czy to w dzień, lub w nocy, przy łożówce, późnemi godzinami uczyli się ról. Ze szkół takich scena warszawska szczyciła się nabytkami, jak n. p. Królikowski, Rychter, Chomiński, Rakiewiczowa, Modrzejowska—i szczyci się dotąd: Rapackim, Leszczyńskim, Frenklem,—i paniami: Marcello-Palińską, Krywultową, Trapszówną i t. p.

To było w czasie przeszłym „dokonanym,” a w terazniejszym kim się poszczyci?

Jeżeli wreszcie coś się zabłąka na scenę warszawską z prowincji, to nic tam nie jest nadzwyczajnego: tak sobie chodzi, rusza się po scenie, mówi nawet nienajgorzej, ale to tylko aby być na tejże scenie, zapewnić sobie stalsze utrzymanie i siedzieć na miejscu, jak mysz pod łopuchem.

Taka to dziś prowincja!

Będzie temu niespełna rok, kiedy pewien artysta inteligentny i z prawdziwem zamiłowaniem do sceny, na własne żądanie usunąwszy się z teatru rządowego warszawskiego z odpowiednim znacznym kapitałem, zapragnął zostać dyrektorem trupy prowincjonalnej, ślubując sobie, że „podniesie z upadku scenę i wskrzesi ją do przeszłych czasów,” i wyrzekając się przytem raz na zawsze dawania operetek, fars i baletów, a posiłkując się jedynie: komedjami klasycznemi, dramatem i tragedją.

Tak też, jak powiedział, i rozpoczął swoją działalność, notabene w mieście, przez stutysięczną publiczność zamieszkałą.

I cóż się wkrótce okazało?

Oto to, że nieborak, straciwszy grubą sumę na komedjach, dramatach i tragedjach, zmuszony był złamać swój ślub i udać się o subwencję do mieszkańców miejscowych, przyrzekając im, że będą mieli gwałtem pożądaną operetkę, farsę a nareszcie i balecik...

— Brawo! - okrzyknięto.

A dlaczego?

Dla prostej przyczyny. Chcąc grywać wyłącznie rzeczy klasyczne, wartościowe, należy posiadać odpowiednie siły dramatyczne, żeby znakomitą grą, a nigdy niejednolitą, przykuć widza do miejsca, i żeby zawsze był on głodny, sceny chciwy, i zbudowany nią.

A na to wszystko potrzeba artystów znakomitych, jakich prowincja nasza obecnie najzupełniej nie posiada.

Gdy tymczasem wystawiając operetki, farsy, nie potrzeba wygórowanych talentów: dosyć mierności, byle posiadano werwę, płaski dowcip, pohopność elastyczną, wreszcie głos jaki-taki do wydawania bodaj nadmiernych tonów. Animusz i przesadzistość w ubra- niu, zwłaszcza w kobietach, posunięty do historii i mitologii, w końcu orkiestrę huczną z trąbami, bębnami i kontrabasami... to i dosyć! dosyć!

Publiczka choć tem wszystkiem nie wzbogaci się duchowo, to przynajmniej po całodziennej pracy swojej zabawi się dowoli, a dyrektor całą garścią zagarnie z kasy cenne i tak upragnione złotko!

I, róbże tu sobie człeczce jakie śluby!...

Coś podobnego kiedyś i ze mną było, gdym jeszcze nie otrząsł się z idealizmu, z którym tak zapamięt-

tale—nie bacząc na Izy mojej ukochanej matki—wstąpiłem na scenę.

Odebrawszy małą sukcesyjkę w gotowiznie po śmierci moich rodziców, namówiono mnie do założenia trupy dramatycznej.

No, i jako młody jeszcze latami, a młodszy doświadczeniem, dałem się namówić do przybrania tytułu „dyrektora,” rozpoczynając działalność swoją od Ciechocinka, ze ślubem również traktowania publiczności potrawami sceniczno-klasycznymi.

Publiczność przyszła raz, zapelniając teatr po brzegi,—przyszła drugi raz już w mniejszej liczbie, trzeci raz jeszcze mniej, czwarty, piąty, bardzo mało, a w końcu zupełnie zaniechała moich klasycznych przedstawień.

I nie dziw, bo oprócz zaledwie kilku osób, reszta była miernotą, zdolną do ról w „Galganduchu,” „Młynie djabelskim” i „Chłopie milionowym,” a nie do „Zbójców,” „Hamleta” i „Szlanki wody.”

Widząc, co się święci, i że już z całej sukcesyi pozostał mi zaledwie rubel w kieszeni, jak nie odrzucę „ślubu,” jak nie dam „Galganducha,” a tu w teatrze publiczności mam, jak nabił!

Po porządku wystawiłem potem „Chłopa milionowego,” „Młyn djabelski,” i publiczność tym sposobem szła do teatru chciwie, jakby muchy do miodu.

I nieraz podsłuchałem rozmowy w cukierni Müllera:

— Doskonale grają, ubawiliśmy się wybornie!

Kiedy przedtem, podczas scenicznego „klasycyzmu” mówiono:

— Ależ paskudzą, nie warto chodzić na taką parodję!

W tym to czasie, podczas pobytu mego w Ciechocinku, czy to na próbie, czy na przedstawieniu, miałem jednakże i stałych gości, z 12-o letniej, prześlizczonej Józii i jej brata, Edzia—Reszków, którzy wraz z gubernierem swoim p. Czaki, nieodstępnyymi byli moimi spektatorami.

Prześlizczona ta para, Józia i Edzio—uważani byli u nas jakby za naszych towarzyszków. W antraktach nawet pozwolono im wchodzić za kulisy.

I, proszę, ktoby pomyślał, że ta „parka“ nigdy z sobą nie rozłączona w Ciechocinku, czy to na spacerach czy w teatrze, będzie kiedyś sławą europejską, a nawet i w innych częściach świata!

Szkoda tylko, szkoda wielka się stała, że ta gwiazda, ta sława polska, ta wielka śpiewaczka Józefa Reszkówna, a potem pani Leopoldowa Kronenbergowa, tak przedwcześnie, tak w samym rozkwicie najśłodsze go pożycia ze swoim czcigodnym małżonkiem przeniosła się na wieczność do grona aniołów, okalających tron Najwyższego Pana Wszechrzeczy!... a pozostawiając tu na ziemi po sobie osierocone w nieukojonym żalu i żalobie istoty, najbliższe jej sercu, a zacząć pamięć w narodzie polskim!

W drugiej nadto połowie dziewiętnastego stulecia scena warszawska poniosła nigdy nie powetowane straty z ubytkiem takich artystów, jak: Żółkowski, Królikowski, Bakałowiczowa i Rakiewiczowa, wreszcie Dobrski, Troszel i Rivoli.

Chociaż tę ostatnią jedyną tylko Kruszelnicką zastępuje godnie, jak i Ziemińską—Lüdowa.

Lecz co do Królikowskiego zwłaszcza i Żółkowskiego, wieki przebiegną, a nikt im nie wyrówna...

Ale *à propos* Żółkowskiego, miałem z nim paradną scenę, o której tu nie zawadzi napomknąć.

Kiedym w r. 1874 i 1875 debiutował na scenie warszawskiej w rolach po Rychterze, Rapackim, Panczykowskim i Chomińskim—zmuszony byłem przedtem zrobić wizyty, obchodząc artystów, przynajmniej tych, z którymi grać mi przypadało.

Było to zwyczajem wówczas każdego debiutanta.

Kiedy przyszła kolej na złożenie wizyty mojej Żółkowskiemu,—wyszędłszy z domu bardzo rano, za ledwie po szklaneczce herbaty,—udałem się na pacierz do kościoła, a potem skierowałem wprost kroki do naszego króla komików.

Żółkowski mieszkał od lat kilkudziesięciu w domu Lewenberga, róg Bielańskiej i Senatorskiej, gdzie też i umarł.

Wchodzę na drugie piętro, dzwonię; służąca drzwi mi otwiera.

Każę się meldować—zostaję przyjętym.

Żółkowski sam jeden znajdował się w pokoju, ubrany w szlafrok, ranną czapeczkę i w pantofle włóczkowej roboty.

Nasz król komików siedział za ogromnym stołem, nakrytym białą serwetą, a zastawionym okazałym śniadaniem, złożonym z mocy butelek, buteleczek, sardynek, kawioru, śledzi pocztowych, sera, sielawek, szynki, peklowiny i pasztetu.

Spostrzegłszy mnie, *à la* „Bolbecki“ z „Consilium facultalis“ nie podnosząc się wcale z krzesła i zapchane mając usta jadłem—zawołał:

— Proszę! proszę bliżej, p. C... siadaj pan,—podając mi rękę przez stół. Wiem, wiem, słyszałem wiele pochlebnego o panu... I w tej chwili p. Alojzy pociągnął kieliszek koniaku i nałożył sobie plaster szynki na talerz.

— Byłeś pan w Poznaniu, Krakowie, i w Krakowie podobno Rychter 'zalazł' panu za skórę? Ba! ba! a komu on kiedy sprzyjał?... Szkoda wielka, że ten poczciwy Koźmian dał mu się tak powodować.

I znowu Żółkowski popił angielskim porterelem, i włożył sobie na talerz puc peklowiny.

A mnie się coś ckliwo zrobiło w żołądku.

— Wszak podobno, jak słyszałem—ciągnął dalej Ż. jednocześnie mowę i węgrzyna, naprzemiany z likierem—poprotegował pana nasz Lubowski?

— Tak, szanowny panie,—odrzekłem.

— Dziwna, dziwna—znając niespokojny temperament Rychtera...

Tu znowu zaczął nasz smakosz brać się do nowego jadła, jak np. przyprawiając kawior cytryną, oliwą i t. d. załatwiwszy się przedtem piorunem z peklowiną...

We mnie doprawdy zaczęło coś burkotać... byłem zupełnie naczczo!

— No, a teraz, opowiedz-no mi „Cybulsiu“...

Był to prawdziwy zaszczyt, jeżeli w tak zdrobniałem nazwisku Żółkowski do kogo przemówił. Co tam słyhać? jak tam w Poznaniu? w Krakowie?—opowiadaj-no, opowiadaj—ciekawym!

I w tej chwili uwinąwszy się znowu z kawiozem, pan gospodarz domu wziął się do sardynek.

Ja tymczasem słabłem, widocznie z głodu...

Ale dość zręczny dałem opis zwyczajów, poglądów, i t. d. powyższych miast.

— Masz rację, masz rację kochanku, to nie nasza kochana Warszawka, i dlatego kijami niktby mnie z niej nie wygonił.

I zajadając ser szwajcarski i popijając angielskiem piwem dodał:

— Więc będziemy grali razem? a w czymże to?

— W „Żydach“ — odpowiedziałem.

— A, a, to pięknie, pięknie—ja tam mam bardzo maleńką rolkę, prawie nic znaczącą w sztuce, tego starego żydziska... a ty, kochanku-panie?

— Staroświeckiego komornika,—odrzekłem z zarumienieniem.

— A, a, rola dawna Rychtera, a teraz Rapackiego. Trzymaj się, trzymaj, bo masz niebezpiecznego obecnie rywala!

— Ah, gdzież-bym ja się mierzył... chciałem dalek mówić, ale mi przerwał „Żydzi“ z „Żydów“.

— Ale my ich pokonamy, pokonamy, i muszą nam bić brawo, zobaczysz!

Te „my“ i „nam“—wydały mi się niejaką ironją w guście: „my, jabłka...“

A widząc, że Żółkowski zaczął sobie serwetką, ściągniętą z pod brody, wycierać usta,—wstałem, a zatoczywszy się cokolwiek na posadzce z głodu, sposobić się zacząłem do wyjścia, szczęśliwy, że się skończyła moja tortura głodomora!

— Siadaj, siadaj jeszcze, gdzież ci tak pilno?—pogadajmy, a możebyś zapalił papieroska?

Gwałtu!—pomyślałem sobie, każe mi papieroska palić, kiedy ja głodny, jak chart!

Ale cóż było robić?—zapaliłem tego „papieroska“ i jeszcze większe po zaciągnięciu się nim uczułem kołatanie w żołądku!

— Słuchaj-no, paniczku—wykluwając sobie zęby piórkiem, kochany Żółkosio, zagadnął mnie. Jak ty się zapatrujesz na tę wojnę?...

A ja, kręcąc w rękach cylinderkiem i przestępując z nogi na nogę, aby się już raz przecie wydobyć z rąk p. Alojzego—milczałem.

Chciał on bowiem poprowadzić ze mną długą jeszcze pogawędkę o wojnach, kiedy tymczasem odczuwałem w moim żołądku w tej chwili silnie przypuszczony atak i bombardowanie nieprzyjaciela do opuszczenia placu boju z zadługo-trwałej mojej pierwszej wizyty i widoku nęcąco-apetycznego śniadania!

Nareszcie zauważywszy nasz smakosz „samojad“, że albo nie chcę z nim zawiązywać dłuższej rozmowy, lub nie posiadam o niej żadnego wyobrażenia, grzecznie raczył moją małuczką odprowadzić do przedpokoju, a żegnając się ze mną, dodać:

— A proszę nie zapominać o mnie, odwiedzić niekiedy; miłą mi zawsze będzie jego wizyta.

— Oj, *miłą*, ale nie dla mnie... pomyślałem sobie,— i biegnąc po schodach jak z wiatrem, pocwałowałem jelenim krokiem do Brajbisza, krzycząc na całe gardło:

— Ludzie! ludzie! na miłosierdzie boskie! dawajcie mi jeść, jeść coprędzej! bo trupem padnę!

— Jest: cielęca z nerką, schab, wołowa z rożna, kotlety...

— Ależ, dawajcie wszystko co macie, a dużo! tylko prędzej, tylko prędzej!

Zwinny garson, pobiegłszy duchem do kuchni, słyszałem, jak mówił do kucharza:

— Śpiesz się pan, bo to jakiś głodomór ten gość!

No, i wcale nie omylił się, dając o mnie taką opinię, bowiem w chwilę potem spałaszowałem po całej porcji kotletów, baraniej, wołowej z rożna i cielecej z nerką. Chyba się temu nikt nie zadziwi?

.

Pisząc o „Halce“ z 1858 roku, przez którą-to zostałem aktorem a nie księdzem, sądzę, że wcale nie będzie od rzeczy wspomnieć choćby pobieżnie i o „jubileuszu“ 500-go jej przedstawienia w r. 1900 na scenie teatru Wielkiego w Warszawie.

Byłem na tem uroczystem przedstawieniu i czułem się być bardzo szczęśliwym, doczekawszy się tak błogiej chwili. Tembardziej, że mnie podobnych, którzyby widzieli „Halkę“, jak ja ją widziałem na pierwszym przedstawieniu w r. 1858 i obecną jubileuszową, chyba już niewielu tam było...

Rozglądam się po teatrze: éma, éma narodu!

Rzucam chytrze wzrok ku orkiestrze, i już nie spostrzegam tam wielce sympatycznego człowieczka z paleczką w ręku, dyrygującego nią swoje arcydzieło: naszego ukochanego mistrza Stanisława Moniuszki. Nie żyje! nie żyje!...

Łzy zakręciły mi się w oczach, westchnąłem ciężko, i powiedziałem sobie: nie, nie, to nieprawda! *on* żyje! i żyć na długo jeszcze będzie w *naszej* pamięci i pamięci nawet innych narodów... Genjuszów imiona zawsze żyją!

Nie znalazłem już również na scenie Rivoli, Dobrskiego, Troszla i wielu więcej artystów z dawnej epoki...

Nowi, wszyscy nowi! I znowu uczułem wilgoć w oczach.

Już-to ja zawsze byłem i jestem tym... przebrzydłym „beksą!”

Tegoczesna „Halka”—nie ma co mówić—świetnie się przedstawia, tak pod względem kosztownego udekorowania scenicznego, jak i naszych tradycyjnych ubiorów...

A w Kruszelnickiej jedynej (z tyłu dotąd przedstawicielki ról „Halki“ po Rivoli) znalazła po sobie najodpowiedniejszą sukcesorkę!

Szkoda, że tego powiedzieć nie mogę o innych sukcesorach po Dobrskim, Troszlu, Kellerze, Gruszczyńskiej i t. p., i t. p.

Dzisiejsi przedstawiciele „Halki“ nie powiem, żeby źle śpiewali, źle grali,—owszem, darzą publiczność jak to się mówi „czem chata bogata...” ale w całości wykonania tej naszej cudnej opery najwidoczniej ukazuje się ten brak dawnego animuszu, śmiałej energii, werwy, a już gwałtownie niezbędnych poruszeń, odpowiednich odzieży!...

O! tego już nie ma, nie ma, a jednak było, było to wszystko za pierwszej „Halki“ w 1858 roku!

Albo proszę, kto widział ażeby jak dzisiaj „dreptano“ w polonezie? lub „skakano“ w mazurze?

Ale, prawda! Obecnie co żyje, wszystko skacze: urzędnik, spadły z etatu, aktor, gdy go rąbnie krytyka, panna, gdy nie może złowić męża, kawaler, gdy nie schwyci panny z posagiem, lub gdy go otrzyma... na

księżycu,—skaczą dyrektorzy teatrów ogródkowych podczas niepogody, kupcy, gdy kundmani ociągają się z regulowaniem rachunków i t. d.

Słowem, cały nasz boży świątek możnaby nazwać „skaczącym.“

Bo i ja najbardziej skaczę, a nawet pod sufit, jak nie dopisze mi mój „Wieczorek humorystyczno-dramatyczny“ i truchleję przed nowym jeszcze skokiem, aż do rozbicia sobie łebetyny, co najmniej... jak będzie długo i spleśniałe spoczywać moja „Wiązanka“ na półkach księgarskich!

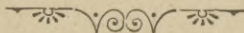
A strasznie się obawiam „Pogotowia!“ A jej!



SPIS RZECZY.



	<i>Str.</i>
1. Wstęp	5
2. Dawniej (gawęda)	6
3. Do młodości (deklamacja)	10
4. Miłość macierzyńska (humoreska)	11
5. Djogenes (humoreska)	13
6. Do warszawianek (humoreska)	14
7. Do nadobnej połowy rodu ludzkiego (deklamacja)	15
8. Jałmużna (deklamacja)	15
9. Cygan (ballada)	17
10. Rozpacz (popis dramatyczny)	21
11. Aktor (deklamacja)	24
12. Zazdrość (humoreska)	26
13. Wiara, nadzieja i miłość (humoreska)	27
14. Wspomnienie o „Halce” z r. 1858—1900 (humoreska)	29



800-

600/95/21084

A 2800





WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
175760

Biblioteka WSP Kielce



0118465